

MARGIT SANDEMO

KRÓLEWSKI LIST

Z norweskiego przełożyła

LUCYNA CHOMICZ-DĄBROWSKA

POL-NORDICA Publishing Ltd.

Otwock 1995

Przekład elektroniczny przygotował

ROZDZIAŁ I

Bracia von Flanck. Właściwie można by nazwać ich rozbójnikami, gdyby nie fakt, że w tamtych czasach tacy już nie istnieli.

Gustav był starszy. Urodziwy niczym jastrząb, miał w sobie ten sam majestat, to samo bystre spojrzenie i szlachetny profil. Rejestrował najłżejsze szmery i błyskawicznie odwracał głowę w stronę potencjalnej ofiary. Bezlitosny i wyrachowany, ale uwielbiany przez kobiety jak żaden inny żołnierz w armii króla Christiana IV.

Torben dorównywał mu jedynie okrucieństwem. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi, ginął w cieniu przystojnego brata. Z tego powodu był podwójnie niebezpieczny. Przypominał pająka czatującego w ukryciu.

Bracia von Flanck cieszyli się sławą żołnierzy wyjątkowo bezwzględnych. Wieść o tym, że jutlandzka szlachta, duchowieństwo i mieszczenie uciekli na wyspy Fionię i Zelandię, a także do Norwegii, przyjęli z błyskiem w oku. Tratowali chłopom pola, pozbawiali czci ich żony, grabili zapasy żywności.

Tak dotarli do Flanckshof, rozległej posiadłości w północnej Jutlandii. Tam się zatrzymali. Słońce chyliło się ku zachodowi, a niebo gorzało jakby opromienione językami ognia dalekiego pożaru. Bracia spoglądali na okazały dwór stanowiący własność ich rodu.

- Nikogo tu nie ma, Torben - odezwał się Gustav. - Ci nędznicy, którzy zagarnęli naszą własność, uciekli! Wzięli nogi za pas.

Bracia ochoczo rzucili się w wir wojny, którą Christian IV prowadził w księstwie niemieckim. Zawsze na czele w wypadach, grabieżach, najbardziej zaciekli w walce. Król, początkowo zachwycony ich odwagą, z czasem zaczął mieć wątpliwości. Był władcą prawym i nie tolerował niepotrzebnego okrucieństwa.

Ich drogi się jednak rozeszły i bracia von Flanck zniknęli mu z oczu.

Zostali włączeni do oddziałów duńsko-niemieckich, które po 1625 roku pod dowództwem Wallensteina parły na północ wzdłuż Jutlandii. Okryta hańbą armia, grabiąca i plądrująca własny kraj bardziej niż wróg, podążająca w ślad za nią.

- I nigdy tu nie wrócą. Motłoch - odrzekł Torben z pogardliwym uśmieszkiem. - Teraz dwór jest nasz, na zawsze.

- Tak, w tym miejscu powiemy: „Żegnaj, wojenko!” - potwierdził Gustav. - Oddziały Wallensteina z pewnością tu nie dotrą. Flanckshof leży na północno-zachodnim krańcu półwyspu, ukryte pomiędzy zagajnikiem a morzem. Nie zauważą go.

- A co z listem królewskim? - spytał Torben.

Dumną twarz Gustava ściągnął grymas.

- E tam. Cóż jest wart akt darowizny dawno zmarłego władcy? Król Fryderyk postąpił niesprawiedliwie, samowolnie stanowiąc, że to nie nasz ojciec odziedziczy Flanckshof, a jego starsza siostra. Przecież młodszy brat powinien mieć pierwszeństwo, nieprawdaż? Nasza ciotka Lidia nie miała prawa zamieszkać tu razem z tym swoim królewskim bękartem.

- No, tego, czy nasza kuzynka Anna Sofie była córką króla, tak na pewno nie wiemy. Fryderyk II nie był szczególnie kochliwy... Oficjalnie Anna Sofie dostała dwór dlatego, że jej ojciec, a mąż Lidii, zasłużył się królowi. Miała to być także kara dla naszego ojca za to, że nie chciał się podporządkować władzy królewskiej.

W pamięci obu braci odżyły wspomnienia i na nowo roznieciły gniew w ich sercach. Prawdą było, że ich ojciec zachował się wyjątkowo podle, omal nie dopuszczając się zdrady. Niedaleko pada jabłko od jabłoni! Byli nieodrodnymi synami swego ojca.

- Ten list może się okazać niebezpieczny. Trzeba sprawdzić, gdzie się teraz znajduje - zdecydował Gustav. - Póki co możemy rozgłosić, że jest sfałszowany. Ale jeśli król Christian potwierdzi podpis swojego ojca...

- Król Christian przebywa w Saksonii. A zanim wróci, zdążymy zniszczyć ten nieszczęsny dokument - zaśmiał się Torben ubawiony swym pomysłem. - Jak sądzisz, bracie?

- Myślę, że tak powinniśmy uczynić. Na wszelki wypadek.

Lidia Stake, z domu von Flanck, siedziała w swym mieszkaniu w Kopenhadze, do którego przeprowadziła się wraz z wnukiem Ulrikiem. Jej mąż, który zasłużył się niegdyś wielce królowi Fryderykowi II, już nie żył. Tak jak i ich córka Anna Sofie, która otrzymała Flanckshof w darze od starego króla. Zięć Lidii pojechał na wojnę i od przerażająco długiego czasu nie dawał znaku życia. Ulrik miał dopiero dziesięć lat, ale w świetle królewskiego dokumentu był prawowitym spadkobiercą Flanckshof.

- Jakie to szczęście, że mamy ciebie, Virginio - rzekła Lidia do młodziutkiej, urzekającej urodą dziewczyny, która siedziała obok niej na sofie i haftowała. - Byłaś nam nieocenioną pomocą w drodze do naszego nowego domu.

Dziewczę o błękitnych oczach spuściło wzrok.

- To ja winnam podziękować, ciociu Lidio. Jestem tylko ubogą krewną twego męża i nie miałam prawa mieszkać we Flanckshof.

- Ależ miałaś, moje drogie dziecko! A kiedy miną te ciężkie czasy, będziesz mogła tam wrócić i zostać tak długo, jak zechcesz.

- Dziękuję, ciociu! Czy jest prawdą, co mówią ludzie, że Gustav i Torben von Flanck zagarnęli Flanckshof?

- Niestety tak. Ale ty przecież spotkałaś ich kiedyś, jeszcze zanim te wszystkie nieszczęścia spadły na Danię. To bardzo źli ludzie, obydwaj!

Gustav von Flanck... Virginia zatopiła się w marzeniach. Upłynęło już wiele miesięcy, odkąd widziała go po raz ostatni, ale nie zapomniała nic z tego, co wydarzyło się w mrocznej altanie, kiedy w pałacu w najlepsze trwał bal. Zachłanne usta, dłonie dotykające jej ciała, na co nikt dotąd nie otrzymał przyzwolenia.

- Czy oni... bracia von Flanck... są żonaci?

- O ile mi wiadomo, nie - odpowiedziała korpulentna pani Lidia z ciepłym uśmiechem.
- Zdaje się, że ci dwaj nie mają za grosz poczucia przyzwoitości. Musisz się pilnować, by nie wpaść w ich szpony, Virginio. W szczególności uważaj na Gustava! Jest niebezpieczny dla kobiet. Pod niewątpliwie ujmującą powierzchownością kryje się zły duch!

Virginia bez słowa pochyliła się nad robótką, ale jej twarz spłonęła rumieńcem. Lidia poruszyła się niespokojnie.

- Na dworze krążą plotki, że widziano ich w Kopenhadze. Tutaj niedaleko, wczoraj wieczorem.

Virginia skuliła się.

- Tutaj? - spytała wstrzymując oddech.

Lidia, opacznie pojmując reakcję dziewczyny, zawołała:

- Nie obawiaj się! Nic nie mogą nam zrobić.

Do pokoju wszedł kamerdyner, ich jedyny służący.

- Pan Berend Grim prosi panią o posłuchanie.

- O, Berend! - Twarz Lidii pojaśniała, - Wprowadź go natychmiast!

Berend Grim zaliczał się do grona najlepszych przyjaciół jej zięcia. Z powodu ran otrzymanych w walce został odesłany z Niemiec do domu. W Kopenhadze służył pani Lidii wielką pomocą i był jej prawdziwą pociechą.

Wszedł młodzieniec, z którego całej postaci emanował spokój. Przywitał się serdecznie z panią Lidią, po czym spojrzał na Virginię tak, jakby przybył tu właśnie z jej powodu. Ukłonił się dwornie, a jego szarobrązowe oczy napełniły się czułością.

- Panno Virginio, cieszę się, widząc panią w tak dobrym zdrowiu - rzekł, po czym zwrócił się do najważniejszej osoby: - Czy dobrze się tu pani czuje, pani Lidio?

- O, tak. Ochmistrz dworski był tak miły i wyszukał dla nas ten dom. I to w pobliżu

zamku! Wszystko jest tak, jak trzeba, drogi Berendzie. Brakuje nam jedynie trochę służby, ale to się da załatwić. Jakie nowiny dziś cię sprowadzają?

- Zatrważająca pogłoska, pani Lidio, i, jak mi się wydaje, nie całkiem pozbawiona podstaw.

Starsza pani gestem wskazała mu krzesło obok siebie.

- Usiądź i opowiedz nam wszystko.

- Bracia von Flanck są w Kopenhadze.

- Słyszeliśmy o tym.

- Ale oni zatrzymali się w gospodzie w pobliżu, niedaleko rynku. Jest z nimi towarzysz broni tego samego pokroju co oni. Pewien mój przyjaciel podsłuchał, że zamierzają się dostać tutaj i wykraść królewski list.

Virginia spuściła oczy, ale jej drobne, kształtne dłonie drżały tak, że nie była w stanie utrzymać igły.

- Niewykluczone, że tak uczynią - rzekła pani Lidia z goryczą. - I nie będę mogła im w tym przeszkodzić. Oni nie mają żadnych skrupułów. Co mogę począć ja, leciwa kobieta, z dziesięcioletnim chłopcem, młodą dziewczyną i starym służącym?

- Zatrzymam się tu na jakiś czas, żeby was chronić - powiedział Berend, nie patrząc na Virginie.

- Nie, mój drogi - odrzekła Lidia. - To nie rozwiązuje problemu. Poza tym bracia rozpuścili plotkę, że list królewski został sfałszowany. Tak więc właściwie nikt nie wierzy w jego prawdziwość.

- Dlaczego w takim razie chcą go wykraść?

- Bo ten dokument jest autentyczny. Ale jedyna osoba, która może to potwierdzić, to prawowity syn Fryderyka, król Christian.

Wnuczek Lidii, bystry i inteligentny chłopiec, wszedł do pokoju nie zauważony przez nikogo.

- Ależ, babciu - odezwał się nieoczekiwanie. - Czy nie jest nam tu dobrze? Przecież zawsze narzekałaś na chłód panujący we Flanckshof. Moim zdaniem to tylko ziemski zbytek i dobra doczesne. Nie warto o nie zabiegać.

- Mój ty mały apostoł - uśmiechnęła się Lidia. - Przestań głosić te szlachetne idee, bo poczuję się winna, że mam tak przyziemne pragnienia. Ale, mówiąc poważnie, ci dwaj okrutnicy, Gustav i Torben, nigdy nie dostaną Flanckshof. Nie zasłużyli na to. Są jak szkodniki, które powinno się wytępić. Moim obowiązkiem jest zachować dwór dla ciebie, a także dla Virginii, która nie ma innego domu.

- Ale przecież mam brata - przypomniała jej Virginia.

- Tak, ale to dla ciebie żadne wsparcie. Całymi dniami przesiaduje w winiarni. O czym to ja mówiłam? Tak, zamierzam zatrzymać Flanckshof również ze względu na twego ojca, Ulriku. Kiedy wróci z wojny.

- No i dla siebie, babciu.

- Nie bądź taki zuchwały, mój chłopcze! No cóż, jeśli mam być szczerą, to chcę zachować Flanckshof również dla siebie. Ale, Berendzie... Powiadają, że nasz drogi król opuścił już Niemcy i ruszył na Północ. Najpierw, jak słyszałam, ma udać się do Fahrmaru, a stamtąd przez Bałtyk do Skanii. Czy to prawda, tego nie wiem, ale jest ważne, żeby odnaleźć Jego Wysokość, zanim bracia von Flanck zdążą wykraść i zniszczyć królewski list. Czy ty...

- Oczywiście - odpowiedział, nim zdążyła dokończyć. - Wezmę ten dokument i udam się do króla.

- Wspaniale! Mój służący wspomniał mi, że dziś wieczór odpływa statek do Skanii. Przyjdź, kiedy się ściemni, Berendzie. Do tego czasu zdążę zamówić dla ciebie miejsce na tym frachtowcu i napisać list do Jego Wysokości.

- Wrócę, pani Lidio. Może pani na mnie polegać.

- Wiem, Berendzie. Mój zięć nie miał nigdy lepszego przyjaciela. A teraz jesteś też naszym przyjacielem, moim i Virginii.

Twarz gościa znowu nabrała blasku. Spojrzał na dziewczynę, ale ona zajęta była robótką.

- Dla was trojga gotów jestem umrzeć - powiedział Berend. - Panno Virginio, czy mogę z panią zamienić kilka słów na osobności?

Niechętnie odłożyła tamborek i podążyła za nim do przedpokoju.

Popatrzył na nią z czułością.

- Panno Virginio, proszę się opiekować panią Lidią! Czasami bywa taka nierozważna. Niechże pani będzie czujna zwłaszcza wtedy, gdy pani Lidia zamyka się w swoim pokoju. Wprawdzie ta na wskroś uczciwa dama twierdzi, że nigdy nie ucina sobie popołudniowej drzemki, ale skądinąd mi wiadomo, że jej się to zdarza.

Berend uśmiechnął się do Virginii. Dziewczyna jednak nie podjęła żartobliwego tonu. Jej chłodne spojrzenie wyrażało brak zrozumienia.

- Jaki to miły człowiek - westchnęła Lidia po wyjściu Berenda. - Od razu poczułam się bezpieczniej. Droga Virginio, nie wydaje ci się, że to dla ciebie wymarzony kandydat na męża? Pomyśl tylko, gdybyś...

Nagle Virginia się poderwała. Na jej twarzy - twarzy porcelanowej lalki - odmalował

się grymas, który świadczył o silnym wzburzeniu.

- Och, ciociu Lidio, kiedy rozmawialiśmy o moim bracie, przypominałam sobie, że obiecałam go dziś odwiedzić. Czy mogłabym dostać wolne? Na krótko!

- Wolne? Ależ, drogie dziecko, przecież nie jesteś służącą! Oczywiście, że możesz pójść do brata, kiedy tylko masz ochotę! Ale nie dawaj mu pieniędzy, bo je przepije. A skoro już wychodzisz, to może porozmawiałabyś z kapitanem tego frachtowca, który dziś odpływa. Weź pieniądze, żeby mu zapłacić. Tylko nie pokazuj ich bratu!

- Dobrze, ciociu Lidio - dygnęła Virginia. - Zrobię, jak każesz, możesz mi zaufać!

Kiedy wyszła, Lidia odetchnęła ciężko i poleciła służącemu wszędzie dokładnie pozamykać i nie wpuszczać obcych.

Virginia podążyła w stronę rynku. Najpierw rozejrzała się wokół, a potem wślizgnęła ukradkiem do gospody. Zapytała o braci von Flanck. Nie było ich, wyszli wiele godzin temu i nikt nie wiedział dokąd. Virginia uśmiechnęła się ujmująco, dygnęła grzecznie i wyszła. Nie dała po sobie poznać rozczarowania. Co teraz robi?

Jej ładna twarzyczka szybko jednak pojaśniała. Wyprostowała się i spieszenie ruszyła w stronę knajpy, gdzie zwykł przesiadywać jej brat. Kiedyś był bardzo sprytny. Niechże w końcu uczyni coś pożytecznego!

Pewna młoda dziewczyna spędzała ten sam wieczór w dzielnicy miasta położonej blisko portu.

Wołano na nią Głupia Line. Może i tkwiłaby w tym przezwisku krztyna prawdy, gdyby pod pojęciem głupoty rozumieć, że ktoś ma serce przepelnione miłością i współczuciem dla innych, myśli życzliwie o bliźnich i gotów jest oddać ostatni grosz komuś, kto być może wcale go bardziej nie potrzebuje.

Tu w ciasnych uliczkach portowych przyłgnęło do niej przezwisko Łachmaniara. Nietrudno zasłużyć na taki przydomek, jeśli się uważa, że inni bardziej potrzebują ubrań, a wszystko, czego by dotknąć, pomazane jest smołą. Ubranie Łachmaniary uszyte było ze starych worków, stopy także miała obwiązane workami.

Caroline - bo tak naprawdę brzmiało jej imię - miała siedemnaście lat. Niedawno straciła ojca, a matka nie żyła już od dawna. Była druga w kolejności wśród licznej gromady rodzeństwa. Najstarsza siostra Lone została w domu, w małej chatce krytej strzechą, i zajmowała się młodszymi dziećmi. Caroline wysłano do Kopenhagi, aby zarobiła na ich codzienny chleb.

Między siostrami a młodszym rodzeństwem istniała duża różnica wieku, bowiem

kilkoro dzieci przyszło na świat martwe, a inne umarły wcześniej. Młodsze rodzeństwo było zbyt małe, by je wysłać do pracy, ale za to w domu pomagało robić beczki.

Wszyscy pokładali ufność w Caroline, którą przytłaczało poczucie odpowiedzialności. Łachmaniara o twarzy pochłapanej smołą i z wiecznie brudnymi rękami... Zbyt młoda, zbyt naiwna, by stawić czoło twardej rzeczywistości.

Ojciec był z zawodu bednarzem. W najnędniejszej okolicy blisko portu miał niewielki warsztat, gdzie przechowywał i sprzedawał swoje beczki. Była to licha buda, wciśnięta między inne, równie liche, choć odrobinę wyższe. W tym to baraku mieszkała teraz Caroline. Na ciasnym poddaszu niemal z niczego urządziła sobie sypialnię; chciała, by było tak jak w domu. Już dawno zrozumiała, że rodzeństwu będzie trudno przetrwać. Panowała ostra konkurencja, a dzieciaki nie miały dość siły, by robić dobre beczki, ona sama zaś nie nadawała się na handlarzkę.

Caroline przez wiele lat jeździła z ojcem do Kopenhagi i służyła pomocą w warsztacie bednarskim. Pewnie dlatego rodzeństwo uznało, że najlepiej zna się na handlu, co zupełnie mijало się z prawdą. Byłoby dużo lepiej, gdyby to najstarsza siostra, Lone, zajęła jej miejsce. Wtedy Caroline mogłaby zostać w domu. Ale Lone obiecała ojcu na łożu śmierci, że zaopiekuje się dziećmi, domem i że nie zaniedba niewielkiego spłachetka ziemi, jaki posiadali.

W tej rodzinie nikt nie potrafił myśleć praktycznie, nawet ojciec. A już najmniej z nich wszystkich Głupia Line.

Raz w tygodniu pojawiał się najstarszy, zaledwie jedenastoletni brat, wioząc na dwukołowym wózku nowe beczki, i zabierał zarobione przez Line miedziaki. Za każdym razem marszczył czoło i narzekał, że za mało dostała za sprzedany towar. Line nie miała odwagi wspomnieć mu o pieniądzach, które dała pewnemu chłopcu choremu na suchoty i innym biedakom, jakich spotykała na swej drodze. Dręczona wyrzutami sumienia z powodu własnej rozrzutności, rezygnowała z niewielkiego procentu, który się jej należał na skromne utrzymanie w wielkim mieście.

Nikt nie pomyślał, że z tego powodu żyje na granicy głodu. Przecież to tylko Głupia Line, Łachmaniara!

Okolica, w której mieszkała, nie należała do bezpiecznych. Co dzień wieczorem Line zamykała przesiąkniętą zapachem smoły kryjówkę na potrójny skobel, po czym wspinała się po drabinie na poddasze. Drzwiczki na górze również zamykała. Z ulgą myślała o tym, że otwory okienne wychodzą na podwórze i dzięki temu może na chwilę zapalić świecę, nie zauważona przez nikogo.

Mieszkanie w baraku miało swoje zalety. Zapach smoły odstraszał szczury i inne robactwo, a ponieważ buda była licha, nikomu nie przychodziło do głowy, by się włamać do środka. Poza tym nikt nie wiedział, że Line tu nocuje.

Zdarzało się, że czuła się bardzo samotna, a odgłosy z ulicy napawały ją przerażeniem. Pijańskie burdy były tu na porządku dziennym. Nigdy ich jednak nie oglądała. Natomiast niekiedy przekradała się na drugą stronę strychu i siadała przy ciemnym okienku wychodzącym na ulicę. Nie widziana z zewnątrz, przyglądała się kobietom w wyzywających strojach, które wystawały na rogu, a potem odchodziły z nieznanymi mężczyznami.

Caroline dużo o tym myślała. Doskonale wiedziała, co się za tym kryje. Mimo bezgranicznej nędzy, którą cierpiała, nie mogła zrozumieć, czemu kobiety decydowały się na takie życie. Ci obrzydliwi mężczyźni, których udawało im się czasem zaczepić - jak mogły znieść ich bliskość? Poza tym kobiety wcale nie bogaciły się na tym ani też nie stawały szczęśliwsze. Przeciwnie, często chorowały i marzły. Line widziała też, że niektórzy mężczyźni zmuszali kobiety, by wystawały na rogu, a potem zabierali pieniądze, które zarobiły.

O, nie. Mimo wszystko lepiej głodować!

Nastaly ciężkie czasy dla Kopenhagi i dla całego kraju. Król Christian IV prowadził wojnę w Niemczech, a to było kosztowne. Bieda zajrzała do oczu mieszkańcom Danii. Wojna między katolikami a protestantami trwała już tak długo, że z niechęcią rachowano lata. Tu i ówdzie podawano w wątpliwość jej religijny charakter. W istocie była to walka żądnych władzy książąt, pałających chęcią zdobycia sławy i podporządkowania sobie jak największych obszarów. Król duński Christian IV nie przywiązywał wielkiej wagi do podbojów nowych ziem, nie powodowały nim także uczucia religijne, przede wszystkim pragnął okryć się chwałą.

Tymczasem napływające wieści mówiły o znikomych postępach w przebiegu działań wojennych.

Jednak to nie wojna, póki co, dawała się Caroline we znaki.

Owego wieczoru, u progu mrocznej sierpniowej nocy, na ulicy nie widać było żywej duszy. Caroline siedziała przygnębiona. Dopiero co zwymyślał ją jakiś klient, który uznał, że beczki zakupione u niej są do niczego, i zażądał zwrotu zapłaty. Tymczasem ona zdążyła już wysłać wszystkie pieniądze do domu i bała się nawet pomyśleć, jak ośmieli się prosić Lone, by je oddała.

Ostatnia kromka chleba pokryła się pleśnią, myśl o mającej nadejść zimie wprawiała

dziewczynę w przerażenie. Ojciec rzadko mieszkał w starym baraku. Codziennie tu dojeżdżał, a na noc wracał do domu. Ale rodzeństwo było zmuszone sprzedać jedyne konia, sądząc, że to poprawi sytuację. Line mogła przecież zamieszkać w drewnianej budzie na stałe. Teraz jednak dziewczynę ogarnęły wątpliwości.

Skuliła się na niewygodnym siedzisku przy oknie i pochlipywała cicho z głodu i z żalu nad swym beznadziejnym losem.

Nagle z sąsiedniej uliczki doszły ją hałasy. Wytężyła wzrok, ale w mroku nocy nic nie mogła dojrzeć. Ktoś krzyknął:

- Mamy go!

Usłyszała szcęk krzyżujących się szabli, a potem znowu wołanie:

- Łap go, Torben! Nie daj mu uciec do portu!

Toczyła się zaciekle walka. To nie była zwykła pijacka bijatyka na pięści i prymitywne noże.

Caroline serce waliło jak młotem. Należała do tych ludzi, którzy bez wahania biorą stronę słabszego. Tu zaś, jak się można było zorientować po odgłosach, jeden miał przeciwko sobie kilku napastników.

Nagle w oddali mignęła jej postać mężczyzny w pelerynie, przeskakującego przez drewniane ogrodzenie, i usłyszała zawiedzione głosy pozostałych.

Uciekinier przebiegł przez podwórko, pokonał kolejny płot i podążył w dół ulicą, przy której mieszkała.

Pościg zdążył dotrzeć do pierwszego ogrodzenia.

Ten człowiek był ranny. To wystarczyło. Caroline zbiegła na dół, odsunęła zasuwę i w jednej chwili była już na zewnątrz. Chwyciła biegnącego za ramię i wciągnęła do środka. Pośpiesznie zamknęła potrójny skobel.

Otoczył ich mrok, gęsty od parującego ciepła, krwi ciekącej z ran nieznanego, bliskości drugiego człowieka. Caroline już nie była sama.

ROZDZIAŁ II

Stali w ciemności, pogrążeni w martwej ciszy. Zdyszany mężczyzna starał się wstrzymać oddech. Napastnicy dobiegli do baraku i przystanęli.

- Którędy uciekł? - spytał jeden z nich.

Drugi odpowiedział:

- W tych nędznych budach nikt nie mieszka. Tu go na pewno nie ma.

Słyszeli, że mężczyźni chodzą dookoła, szarpią drzwi. Sprawdzili również drzwi do warsztatu. Line odruchowo wyciągnęła rękę do rannego, on zaś chwycił jej dłoń i uściśnął uspokajająco.

Znów usłyszeli głosy.

- Tu go nie ma. Musiał pobiec w tamtą stronę i skręcić w poprzeczną uliczkę!

Drugi zaklął szpetnie i dorzucił:

- A więc jednak dostał się na pokład statku. Jak go teraz zatrzymamy?

Kroki ucichły.

- Mogą wrócić - szepnęła Line. - Jeśli zechcesz, panie, pójdź ze mną. Pomogę...

- Dziękuję - odpowiedział i jęknął z bólu.

W ciemnościach z trudem wprowadziła go po wąskiej drabinie na strych.

- Nie mieszkam zbyt ładnie - szepnęła przepraszająco, nim otworzyła drzwi do swej maleńkiej klitki. - Ale jeśli zechcesz, panie, odsapnąć przez chwilę, to bardzo proszę!

Upewniwszy się, czy przez szpary w oknie i drzwiach nie przedostaje się światło, spojrzała przelotnie na swego gościa. Wielkie nieba, pomyślała, ależ to prawdziwy pan!

Był dość młody, ubrany w purpurę, aksamitną pelerynę, koronki, buty z cholewami. Z wyglądu surowy, może nieszczególnie urodziwy, ale bardzo pociągający.

Spojrzał na nią w tej samej chwili.

- Wybacz mi, proszę. Sądziłem, że to jakaś uliczna dziewczka, tymczasem ty jesteś jeszcze niewinnym dzieckiem! Ależ, biedactwo, co ty masz na sobie?

- Panie, skończyłam siedemnaście lat - dygnęła. - Proszę pozwolić mi obejrzeć pańskie rany. Krew z nich sączy się niczym najszlachetniejszy trunk!

Uśmiechnął się blado.

- Prawdziwa z ciebie poetka, nic mi nie jest... - zaczął, ale nagle poczuł, że chyba się myli. Opał na lice posłanie zrobione z dwóch skrzynek, na których opierały się deski

przykryte siennikiem. Zatrzeszczało ostrzegawczo.

Złapał się za lewe ramię, a przestraszona Line spostrzegła krew przeciekającą mu między palcami.

- Czy to jedyna rana? - zapytała, mocząc w wiadrze z zimną wodą swój prosty szal, którym zamierzała obetrzeć krew.

- Jedyna poważna. Jestem dobrym szermierzem - powiedział i jęknął, bo woda dostała się do rany. - Ale ich było trzech i nie mogłem bronić się przed wszystkimi równocześnie. Szczęście, że ktoś pomógł mi uciec, w ciemności nawet nie widziałem dokładnie, kto to był... Bardzo źle to wygląda?

- Wydaje mi się, że nie. Rana jest długa, ale nie tak głęboka, by mogła zagrażać życiu. Gdybym tylko miała...

Rozejrzała się bezradnie.

- Proszę, weź moją koszulę i zrób z niej bandaż - powiedział szybko. - Pomóż mi ją zdjąć!

- Ale ona jest taka piękna!

- Bzdura - odpowiedział, lecz w tej samej chwili uświadomił sobie, że ta uwaga mogła zabołec i wprawić w zakłopotanie kogoś, kto nawet nie mógł marzyć o czymś tak kosztownym. - Muszę ją poświęcić - uśmiechnął się przeprasząco. - Bo mimo wszystko wolę zachować życie aniżeli koszulę.

To Line rozumiała dobrze. Ostrożnie, jakby był ze szkła, a jego ubrania stanowiły bezcenne klejnoty, pomogła mu zdjąć pelerynę, bluzę z delikatnej skóry i koszulę. Kiedy dotknęła nagiego ciepłego ramienia, poczuła dreszcz przebiegający przez jej ciało. Ale nie z odrazy, wcale nie! Raczej z powodu czegoś fascynującego a nieznanego.

Line miała gołębie serce, w którym natychmiast znalazło się miejsce dla jej gościa. Żywiła dlań coś w rodzaju tkliwości połączonej z bezgranicznym szacunkiem.

Zawsze była niezręczna i niepraktyczna, powtarzano jej to nieustannie, teraz jednak ta myśl sparaliżowała ją do tego stopnia, że nie wiedziała, jak podrzeć koszulę na odpowiednie paski.

Mężczyzna nie wyglądał na poirytowanego. Line, która przywykła do ciągłego siostrzanego: „Czy ty potrafisz cokolwiek?” odczuła najwyższe zdumienie, kiedy ranny pomógł jej bez słowa, łagodny i pełen wyrozumiałości.

Wreszcie najpoważniejsza rana została opatrzona, a drobne draśnięcia same przestały krwawić. Jak zauroczona wpatrywała się ukradkiem w jego umięśnione barki i jedwabistą skórę, która w nikłym blasku łojowej świecy przybrała złocisty odcień.

Przybysz także rozejrzał się wkoło.

- Mieszkasz tu na stałe? - zapytał z niedowierzaniem.

Nie ruszał się z posłania z dość prozaicznego powodu; sufit znajdował się tak nisko, że nie sposób było stanąć i wyprostować się. Poza tym Berend czuł się osłabiony na skutek dużego ubytku krwi.

Line - zażenowana - opowiedziała trochę nieskładnie o swoim rodzeństwie i o warsztacie bednarskim ojca, nad którym przejęła pieczę.

- Nasze beczki są kiepskie - zakończyła, zatrzymując wzrok na tej, którą wstawiła na poddasze, żeby ją naprawić.

Gość przysunął beczkę i obejrzał ją z bliska. Ścisnął mocno, tak że obręcze przesunęły się na właściwe miejsce.

- Twoi młodsi bracia mają za mało siły - powiedział. - Ale podziwiam was - dodał - że próbujecie sami dać sobie radę. Właściwie jak masz na imię?

Z przyzwyczajenia rzuciła:

- Głupia Line.

- No, chyba tak się nie nazywasz?

- Nie, na chrzcie otrzymałam imię Caroline, ale nikt już o tym nie pamięta. Wszyscy nazywają mnie Głupią Line, to tak łatwo wymówić. Chociaż tu, na tej ulicy, wołają na mnie Łachmaniarą.

Wyciągnął dłoń i pogłaskał dziewczynę po policzku.

- Nie jesteś głupia, co najwyżej naiwnie dobra. Na przykład przed chwilą! Przecież ci mężczyźni mogli mieć powód, żeby mnie ścigać.

- Nie sądzę - odparła Line bez namysłu. - Trzech na jednego! To tchórzostwo. No i ich głosy! Brzmiały tak groźnie.

- Mylisz się sądząc, że był to napad rabunkowy na kogoś wysoko urodzonego. To ci trzej są szlachciami, nie ja.

- Wyglądasz, panie, jak szlachcic i także są twoje maniery!

- Dziękuję ci - uśmiechnął się. - Nazywam się Berend Grim i pochodzę z bardzo dobrej rodziny, chociaż nie szlacheckiej. Bądź tak miła i zwracaj się do mnie po imieniu. Ja zaś ani myślę nazywać cię Głupią Line, Łachmaniarą czy podobnie.

- Rzeczywiście, Caroline brzmi znacznie lepiej. Miałaś, panie, płynąć statkiem?

- Miałaś, Berendzie, płynąć statkiem - poprawił ją.

- B-Berendzie. Ależ ja nie mogę...

- Przyzwyczaisz się. Ale co do twego pytania. Tak, rzeczywiście miałem płynąć

statkiem. Jednak ci nikczemnicy zatrzymali mnie i pewnie frachtowiec zdążył już odbić od brzegu. Nie wiem, jak się teraz dostanę do Skanii. Niewiele statków kursuje w ten wojenny czas. A poza tym ci trzej pewnie pilnują portu.

Nagle barakiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Głuche dudnienie z wolna ucichało.

Line mimowolnie chwyciła Berenda za rękę.

- Co to było? - spytała ogarnięta trwogą. - Czy to wystrzał z armaty? Wojna, tutaj? O Boże, muszę wracać do domu, biedne dzieciaki, powinnam być przy nich!

- Nie, nie, to nie armata! To coś znacznie potężniejszego. Chyba nie...

- Co takiego?

- Boże drogi, to chyba nie statek, którym miałem odpłynąć? Chyba nie są tak szaleni, by narażać niewinnych ludzi dla jakiegoś listu!

- Listu?

- Nie, nic takiego.

- Ależ panie, to znaczy Berendzie, gdyby zamierzali zatopić twój statek, to chyba nie przeszkadzaliby ci dotrzeć do portu.

- Rzeczywiście, masz rację. I kto mówi, że jesteś głupia! Nie, to pewnie wybuchło coś innego. A wracając do naszej rozmowy. Chcę ci powiedzieć, że się nie pomyliłaś. Ci trzej to bezwzględne rzezimieszki. Sprawiedliwość była po mojej stronie. Zostałem wysłany w ważnej sprawie na drugą stronę zatoki przez najwspanialszych ludzi, jakich znam.

Berend pograżył się w myślach. Dziewczyna widziała, jak zmienił się wyraz jego twarzy. Nędzny i mały świat Line przestał dla niego na moment istnieć. Surowe rysy złagodniały. Można w nich było wyczytać takie ciepło, taką tkliwość i... miłość, że Line poczuła ukłucie w sercu.

- Wysłany... z listem?

Ocknął się i uśmiechnął do niej.

- Zgadza się, mądra Caroline.

Na ulicy rozległ się tupot i na poddasze dotarły ochryple głosy kilku chłopców.

- Co to wybuchło? - wołał jeden.

- Frachtowiec „Tilda”! Rozpadł się w drobny mak!

Berend przeraził się.

- To mój statek! Ale, na miły Bóg, nie pojmuję... Czy mam jeszcze innych wrogów? Bo to nie byli bracia von Flanck. Nie zdążyliby przecież dobiec do portu ani też założyć ładunków wybuchowych przed wyjściem frachtowca w morze.

Bracia von Flanck? Line postanowiła zapamiętać to nazwisko, nie dlatego, by

kiedykolwiek jeszcze miała zobaczyć Berenda Grima. Wiedziała jednak dobrze, kogo nigdy nie polubi.

- To okropne - wyszeptała. - Wysadzić statek, nie zważając na tych wszystkich nieszczęśników, którzy znajdowali się na pokładzie!

- Rzeczywiście, jak można... Choć Bogiem a prawdą, ten statek zasługiwał, by pójść na dno. Kapitanem „Tildy” był najbardziej przekupny drań w całej Danii. Brał na pokład wyłącznie takich pasażerów, którzy mieli do załatwienia coś pilnego i gotowi byli słono zapłacić.

- A więc tam nie było dzieci?

- O ile wiem, to rzadko, a raczej chyba nigdy nie zabierano dzieci na pokład.

- Ten list musi być bardzo cenny! Chyba że chodziło o kogoś innego?

- Dzisiaj to ja miałem być jedynym pasażerem. Na taki frachtowiec rzadko zabierają więcej ludzi. A ładunek był całkiem niewinny: główki kapusty. Nic nie rozumiem! List przedstawia wartość dla kilku zaledwie osób i nie wydaje mi się, by mógł spowodować taki kataklizm. Jedynymi, którzy pragną odebrać mi ten dokument, są bracia von Flanck. Ale oni byli ze mną.

- Czy mógłbyś panie... Berendzie... opowiedzieć mi coś o tym liście?

- Raczej nie, Caroline. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Im mniej wiesz, tym lepiej.

Poczuła się urażona, ale nie dała tego po sobie poznać. Uważa, pomyślała, że głupia Line nie dochowa tajemnicy, gdyby ją ktoś wypytywał. Albo że sama pójdzie i wygada wszystko sąsiadom.

Berend spostrzegłszy, że dziewczyna ucichła, spytał pospiesznie:

- Czy mógłbym tu zostać parę minut? Nie czuję się na siłach, aby już pójść.

Widziała, że cierpi. Czoło pokryło się perlistym potem, zaciśnięte usta zdradzały, iż walczy z bólem.

Przełamała się i odrzekła, zwracając się doń po imieniu:

- Możesz tu nocować, Berendzie.

- Ach, ty wielkoduszna panienko! Gdybym został tu na całą noc, nie zachowałbym się wobec ciebie po rycersku.

- O, ja mogę przecież czuwać.

- Na dworze? Nigdy w życiu! Ale powiedz mi, Caroline, czy rzeczywiście zamierzasz mieszkać tu przez zimę.

- Tak - odparła żałośnie. - Muszę.

Na ulicy nadal słychać było głosy chłopców.

- Może podpalimy budę Łachmaniary? - zaproponował jeden z nich.

Berend otoczył ją ramieniem, by dodać jej otuchy.

Inny, jakby nieco poważniejszy głos odparł:

- Nie, przestańcie! Zrobiła wam coś? Ta Łachmaniara jest całkiem miła. A poza tym może tu nocuje?

- Co? Nocuje? To ją nastraszymy, chodźcie!

- Nie! - odezwał się znów niski głos, który najwyraźniej należał do przywódcy. - Macie się trzymać z dala od tej dziupli, rozumiano? Wracamy do portu!

Berend poczuł, że kościste ramiona się rozluźniły.

- Moja droga, jakaż ty jesteś wychudzona! Skóra i kości! Jak radzisz sobie z jedzeniem?

- Dziękuję, całkiem dobrze - odpowiedziała Line pośpiesznie.

Nie uwierzył jej.

- Świetnie! - rzucił. - Bo jestem strasznie głodny. Możesz mnie poczęstować jakimś kąskiem?

- Panie - odrzekła zmieszana. - Zapewne wzgardziłbyś tak skromnym poczęstunkiem.

- Znów zapomniałaś, jak mam na imię? - spytał łagodnie. - Jestem tak głodny, że zadowolę się czymkolwiek.

Line, nerwowo wyłamując palce, wstała zrozpaczona i odszukała spleśniałą kromkę. Odwrócona do Berenda plecami, usiłowała odkroić co najgorsze. Jednak chleb był zbyt twardy.

Berend znalazł się tuż za plecami dziewczyny. Wziął do ręki kawałek starego chleba.

- Mała Caroline - powiedział wzruszony i wytarł ostrożnie łzę, która zdradziecko potoczyła się jej po policzku.

- Jakże chciałabym cię, panie, ugościć - wyszeptwała zasmucona. - Oddałabym ci wszystko, co najlepsze!

- Tu nie chodzi o mnie - odrzekł Berend równie zasmucony. - Akurat w tej chwili dziękuję Bogu, że los skierował mnie do twego baraku, Caroline. Nie zostaniesz tu na zimę. Nie zostaniesz tu ani jednego dnia dłużej.

- Ale ja muszę - zaprotestowała Line, pochlipując cicho. - Beczki to nasze jedyne źródło utrzymania. A jest nas dziewięcioro rodzeństwa.

- Załatwię to! Zatrudnię bednarza z prawdziwego zdarzenia. Pewnego młodego chłopaka, którego znam. Zajmie się wszystkim, a ja mu będę za to płacić.

- Ale przecież nie możesz...

Uśmiechnął się.

- Czyż nie mówiłem, że pochodzę z bardzo dobrej rodziny?

Osunął się ciężko na postanie, bo znów całe pomieszczenie zawiroowało mu w oczach.

- A ty, moja mała przyjaciółko, będziesz zarabiać na chleb w inny sposób.

Przerażenie pojawiło się w jej oczach.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- W każdym razie nie to, co przyszło ci do głowy - roześmiał się. - Ci mili państwo, o których tobie przed chwilą wspomniałem...

- Ci od listu?

- Właśnie! Ci państwo potrzebują więcej służby. Czy chciałabyś usługiwać w ich domu, Caroline?

Spojrzała na swoje łachmany i wyciągnęła przed siebie szorstkie dłonie. Berend czytał w jej myślach.

- Zadbamy o to! Gdy wstanie świt, pójdziesz ze mną do domu mojej matki. Tam się wykąpiesz i otrzymasz czyste ubranie. Na pewno znajdą się jakieś rzeczy po mojej najmłodszej siostrze.

Line zamilkła na dłuższą chwilę, po czym rzekła:

- Ale ja nic nie wiem o tym, jaka powinna być służąca. Poza tym jestem beznadziejnie niepraktyczna, wszyscy tak mówią. Berendzie, prawda jest taka, że nie nadaję się do niczego na tym świecie.

Z trudem powstrzymywała łzy.

- Prawda jest taka, Caroline, że masz w sobie coś, czego świat jest okrutnie spragniony: gorące i czyste serce. Na początku będziesz wykonywać proste czynności, na przykład noszenie drewna i wody. A z czasem nauczysz się więcej. W tym domu mieszkają wspaniali i wyrozumiali ludzie. - Na twarzy Berenda znów zagościł ów wyraz łagodności, który dziwnie niepokoił Line, choć nie pojmowała dlaczego. - Ale pierwsze, co zrobisz jutro rano u mnie w domu - ciągnął Berend - to zjesz solidny posiłek!

- Nie zasługuję na to, nie miałam wszak czym poczęstować mego gościa.

Berend uchwycił jej dłonie, na nowo wstrząśnięty tym, jak chłodne są i kruche.

- Caroline, ty uratowałaś mi życie!

Line na moment się rozpogodziła, zaraz jednak znów spuściła wzrok. Speszyło ją ciepłe spojrzenie mężczyzny.

Berend odczuwał niepokój. Stracił sporo krwi i gdy próbował wstać, kręciło mu się w

głowie. Gdyby tak mógł odpocząć tu przez noc...

Ale przecież nie wysze dziewczyny na dwór, a na poddaszu oprócz pościania nie było nic, na czym można by usiąść.

Berend był dobrze wychowany i miał zasady. Nie mógł nocować u dziewczyny, bo narażałoby to na szwank jej dobre imię. Tłumaczył to Line, ale ona się z nim nie zgadzała. Jak może ją narażać, skoro nikt nie wie, że u niej przebywa. Sama zaś jest pewna, że nie uczyni jej nic złego.

W końcu zawarli kompromis. Berend usiadł na łóżku, oparł się o wezgłowie i otulił peleryną. Line, także spragniona snu, zwinęła się na pościaniu, a głowę położyła na kolanach Berenda.

Ranny usiłował zasnąć, jednak po głowie tłukły mu się różne myśli i nie dawały zmrużyć oka. Małą istotę, z którą przyszło mu dzielić łóżko, dręczył podobny niepokój.

- Berend, skąd ci okropni ludzie wiedzieli, że zamierzasz płynąć frachtowcem?

Poruszył się, gdyż ścierpła mu noga.

- Właśnie myślę o tym samym. Przypuszczam, że musieli podsłuchać moją rozmowę, kiedy wychodziłem z domu, w którym będziesz pracować. Pewna młoda dama, którą tam znam, odprowadzała mnie do bramy, i nieświadoma niebezpieczeństwa wspomniała coś o liście i mojej podróży do Skanii. Widocznie moi trzej wrogowie stali w pobliżu i usłyszeli jej słowa. Widziano ich bowiem, jak przez kilka dni obserwowali budynek.

- Głupia ta dama.

Poczuła, jak naprężył mięśnie.

- To nie jej wina - rzekł. - Przecież, biedactwo, o niczym nie wiedziała.

Line umilkła zatrwożona. Po chwili jednak znów go zagadnęła:

- Muszę najpierw pojechać do domu i zawiadomić o wszystkim Lone i młodsze rodzeństwo.

- Dobrze, załatwimy to jutro. Teraz śpij!

Próbowała go posłuchać. Jej głos, gdy znów się odezwała, był znacznie bardziej zaspiany.

- Oni nie wiedzą, że żyjesz.

Berend wyrwany z drzemki natychmiast oprzytomniał

- Coś ty powiedziała?

- Nikt nie wie, że żyjesz.

- Tak, słyszę przecież, tylko że... Caroline, jesteś genialna!

- Ha - w jej głosie zabrzmiała gorzka ironia.

- Ależ tak, naprawdę! Ale ze mnie idiota! Nawet mi przez myśl nie przeszło, że otwierają się przede mną takie możliwości. Mój Boże! Będę mógł swobodnie działać, chronić z ukrycia moich przyjaciół w domu Lidii. Caroline, pamiętaj! Umarłem! Nikt nie może się dowiedzieć, że żyję. Przysięgnij mi to!

- Nikomu nie szepnę nawet słówkiem - przyrzekła uroczyście, dumna, że zdobyła jego zaufanie.

Teraz już bez trudu oboje zasnęli.

Ale pośród cichej kopenhaskiej nocy, skrywającej wszelką biedę, brud i tragedie, czuwała najokropniejsza istota, jaką można sobie wyobrazić. Swe jedyne oko skierowała w stronę baraku Łachmaniary.

W tej okolicy, gdzie nie docierają dźwięki kościelnych dzwonów, a żaden duchowny nie odważy się postawić stopy, gdzie odpadki wyrzuca się wprost na ulicę bezpańskim psom i kotom, ukrył się w mroku nocy ów nieszczęśnik, od którego odsuwali się nawet trędowaci.

Czekał - samotny, wyrzucony poza nawias społeczeństwa.

Cicha, nieruchoma postać nie spuszczała wzroku z nędznej rudery.

Jakiś nocny przechodzień, chcąc skrócić sobie drogę, podążał ciemnymi uliczkami i zaułkami. Rzucił spojrzenie w mrok, zadrżał z trwogi i przyspieszył kroku. Pod nosem mamrotał słowa modlitwy, palce zaś ułożył w pogański znak, który miał chronić przed Złym.

ROZDZIAŁ III

Szarym świtem, kiedy Kopenhaga dopiero zaczynała budzić się ze snu, Line i Berend ruszyli ulicami i zaułkami przesiąkniętymi stęchlizną, w których głośnym echem odbijały się głosy pierwszych robotników. Szli powoli, bo Berend nie czuł się jeszcze całkiem dobrze i często przystawał, żeby odpocząć. Jedną ręką przytrzymywał się ścian budynków, drugą zaś opierał ciężko na wątłych ramionach Line.

Line czuła się brudna i zaniedbana. Ukradkiem zerknęła na swego eleganckiego towarzysza, który pewnie wstydził się z nią iść. Chyba dlatego wybrał tak wczesną porę, choć oczywiście zależało mu również na tym, by nie natknąć się na nieprzyjaciół.

Przez całą drogę opowiadał ciepło i przyjaźnie o domu, w którym miała zostać służącą: jacy mieszkają tam ludzie, jak powinna się zachowywać. Mówił o wspaniałej starszej damie - pani Lidii, chłopcu imieniem Ulrik - zdolnym, choć upartym i rozpieszczonym, wreszcie - i tu zmienił tembr głosu - o młodej panie Virginii, pięknej, skromnej i niewinnej. Line musiała obiecać, że będzie dla niej szczególnie miła, bowiem ta panna, wychowana pod kloszem, pojęcia nie miała o złym i brutalnym świecie.

Line skinęła głową i przełknąwszy ślinę przyrzekła, że będzie pomagać wszystkim.

- A jeśli mnie tam nie zechcą? - zapytała.

- Na pewno zechcą. W tym domu o wszystkim decyduje pani Lidia. Darzymy się wzajemnym szacunkiem. Moje poręczenie z pewnością jej wystarczy.

- Postaram się nie zawieść okazanego mi zaufania - zapewniła Line z przejęciem. W cichości ducha zastanawiała się jednak, co powiedziałyby na to wszystko starsza siostra, Lone. Lepiej nie myśleć!

Od portu dochodził głuchy łoskot przeładowywanych beczek i innych towarów oraz zgrzytanie podnośników na kutrach rybackich. Daleko w bocznych uliczkach pobrzmiwały głośnie przekleństwa.

Nagle zadrżeli. Pod ścianą budynku stało monstrum - niemal dosłownie wrak człowieka. Twarz zeszepecona, jedyne przekrwione oko, które zezowało na nich. Kaleka bez ręki i nogi opierał się ciężko na wystruganych kulach. Właściwie była to połówka człowieka. Wyglądał tak groteskowo, że serca ścisnął im ból.

- Och, dlaczego życie jest takie okrutne - uzalała się Line, kiedy go minęli. - Któż pojmie myśli tego człowieka, jego tęsknotę, samotność?

- Ciszej, jeszcze cię usłyszy - odrzekł Berend. - Ale rozumiem. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co uczyniłbym na jego miejscu.

- Tego chyba nikt nie potrafi - odparła Line przygnębiona.

Szli środkiem ulicy po kamieniach nazywanych brukiem burmistrza. Inaczej nie dało się przejść. Wokół wałały się śmiecie i odchody zwierząt, a bokiem płynęła brunatna, gęsta gnojówka, wydzielająca potworny smród. W drzwiach mijanych domów stały wychudzone dzieciaki, zasmarkane i brudne. Gapiły się na wspaniałe szaty Berenda, rozdziawiając z zachwyty buzie.

Obok przeszedł kondukt żałobny. Za przeraźliwie małą trumną szła tylko rodzina. Taki widok nie należał do rzadkości w portowej dzielnicy Kopenhagi. Line chwyciła dłoń Berenda i ścisnęła ją mocno. Zbyt wiele rodzeństwa umarło na jej oczach, a ostatnio ojciec.

Domy, które teraz mijali, miały odmienny charakter. Były trochę przestronniejsze i bardziej zadbane. Także ludzie byli tu inni: widzieli spieszących do swych obowiązków ubranych na czarno aptekarzy i urzędników.

- Twoja siostra ma pewnie na imię Abelone? - spytał z uśmiechem Berend.

- Tak, i mam jeszcze młodszą siostrę, Magdalenę - odpowiedziała Line, szczęśliwa, że może mówić o swej rodzinie. - Ale na nią wołamy Lene.

- Line, Lone i Lene - roześmiał się Berend. - A jak nazywają się twoi bracia?

- Eee, oni mają całkiem zwyczajne imiona.

Dotarli do bardziej eleganckiej części miasta niedaleko zamku. Berend zatrzymał się przy niezwykle pięknym, okazałym budynku.

- Mam swój klucz - wyjaśnił i otworzył drzwi. - Proszę, wejdź do środka - powiedział i przytrzymał odrzwia.

Line speszyła się. Nigdy dotąd nie doświadczyła takiej uprzejmości. Przepych wnętrza onieśmielił ją jeszcze bardziej. Czy możliwe, by istniały takie domy? Berend musi być chyba co najmniej księciem!

- Mój ojciec był obrotnym kupcem - rzekł Berend, dostrzegłszy jej konsternację. - Pływał na żaglowcu „Ostindia”. Już nie żyje. Szczerze mówiąc, nie rozpaczam zbytnio z tego powodu. To był niezwykle surowy człowiek, bardzo wymagający wobec swych najbliższych, despota. Wszystko musiało kręcić się wokół jego osoby. Jako dziecko byłem zupełnie stłamszony i gdyby nie moja matka, spokojna i wrażliwa, w mojej psychice zaszyłyby nieodwracalne zmiany. Jego śmierć przyniosła mi niejako wybawienie. Tak jak i moim starszym siostram. Myślę, że matka także odczuła ulgę.

Berend prowadził Line przez okazałe pokoje do kuchni. Dziewczyna w końcu przełamała się i wykrztusiła:

- U nas w domu było podobnie. Ojciec wymagał od nas ślepego posłuszeństwa. Jeśli ktoś się sprzeciwił, dostawał lanie. Nawet kiedy podrośliśmy, ojciec nie przestał używać kija. Ale chyba, mimo wszystko, kochał nas. Uświadomiłam to sobie znacznie później. Najgorsze jest jednak to, że Lone uważa, iż tak właśnie powinno być i jest równie surowa jak ojciec. No, prawie tak samo. W każdym razie nas nie bije.

- Doskonale cię rozumiem! Usiądź, Caroline, zaraz kogoś przyprowadzę.

Siadła na krześle w lśniącym czystej kuchni, w której jej małe poddasze zmieściłoby się kilkakrotnie. Przez wielkie okna przenikały pierwsze promienie poranka i odbijały się w miedzianych garnkach i naczyniach wiszących na ścianie.

Line ciężko westchnęła. Ogarnęła ją nieokreślona tęsknota, wywołana zapewne wrodzonym poczuciem piękna. W świecie dziewczyny szczytem wspaniałości wydawały się szare wróble, potrafiła bowiem dostrzec zachwycające niuanse kolorystyczne w ich upierzeniu. Ten dom ją przytłoczył. Czuliła się tak, jakby na chwilę uchylono przed nią bramy raju, do którego już w chwili narodzin zabroniono jej wstępu,

Berend wrócił wraz z ochmistrzynią oraz jakąś damą o miłej powierzchowności. Line domyśliła się, że jest to jego matka. Poderwała się spłoszona i dygnęła przed obu paniami. Matka Berenda spoglądała przyjaźnie spod posiwiałych włosów. Wyspana i wypoczęta, miała na sobie podomkę z jedwabnego brokatu. Line korciło, by dotknąć tej i niezwyklej tkaniny.

- Berend powiedział, że uratowałeś mu życie, droga Caroline - rzekła dama i chwyciła jej dłoń. - Nie wiem, jak ci dziękować. Mój syn dobrze uczynił, przyprowadzając cię do nas. Dostaniesz jedzenie i wszystko, co ci potrzebne. Jaka jesteś wychudzona! Pewnie trzeba będzie zwięzić ubrania po mojej córce, ale wszystko jakoś się ułoży. Obiecuję ci.

Matka Berenda słowem nie napomknęła o łachmanach z worka, sztywnych od zastygłej smoły. Nic nie rzekła o uwalanych rękach i twarzy, o grudkach smoły we włosach, których nie dało się rozczesać.

Była damą, a damy nie mówią takich rzeczy. Line skrzętnie zanotowała w myślach jej zachowanie. Dlaczego jednak ta wielka pani miała łzy w oczach, gdy patrzyła na nią? Pewnie tak się przejęła swym synem, któremu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Zaraz Gertruda pomoże ci doprowadzić się do porządku - powiedziała matka Berenda. - Potem porozmawiamy. Wyślę list przez posłańca do mojej dobrej znajomej Lidii Stake. Ona jest naprawdę wspaniała. Będzie ci tam dobrze. Aha, nie wspominaj nikomu o Berendzie. Nikomu! Pamiętaj, nigdy go nie spotkałaś! Mój syn będzie się ukrywał!

Line skinęła głową, wciąż oszołomiona nową sytuacją. Matka Berenda poklepała ją po policzku i wyszła z kuchni. Line usłyszała, jak szeptała pod nosem:

- Łachmaniara... To okropne! Potworne i niesprawiedliwe! Jak można tak nazwać Bogu ducha winne dziecko?

Gertruda obudziła kucharkę i pozostałe służące. Line poczuła się ogromnie speszona tym, że wywołała takie zamieszanie.

- I tak musiałyby wstać - uspokoiła dziewczynę Gertruda, stawiając przed nią jadło, jakiego nigdy dotąd nie oglądała.

Dziewczyna kuchenna rozpałała ogień w piecu, żeby Line się ogrzała. Ona tymczasem siedziała na krześle i rozglądała się wielkimi ze zdumienia oczami. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, żeby nie popełnić gafy.

Wszyscy byli dla niej tacy dobrzy, tacy mili. Jadła z nabożeństwem, oszołomiona wykwinnością posiłku.

Dwie służące chętnie się zgodziły pomóc jej w kąpeli. Line wstydziła się okropnie, nigdy jeszcze nie rozbierała się przy obcych. Wstydziła się swego wychudzonego ciała, wystających żeber i sterczących kości. Dziewczęta wyszorowały ją dokładnie. Z włosami jednak nie mogły sobie poradzić, mimo że myły je i rozczesywały kilkakrotnie. Skończyło się na tym, że musiały poobcinać kołtuny z grudkami zastygłej smoły. Efekt może nie był najdoskonalszy, ale służące dość zręcznie ułożyły włosy w ładną fryzurę, podpięły spinkami i zawiązały jedwabną wstążkę. Line oniemiała z podziwu.

Caroline dostała nową płócienną bieliznę i suknię, w której uznano by ją za królową balu w jej rodzinnej wsi. Tymczasem tu - niepojęte! - powiedziano jej, że to jest suknia na co dzień do pracy. Trzeba było ją trochę podłożyć u dołu, wszyć głębiej na szwach, poprawić tu i ówdzie.

Służące pomagały jej z niekłamaną przyjemnością i kiedy Line ujrzała swe odbicie w lustrze, nie wierzyła własnym oczom. Dziewczęta także wydawały się być zadowolone ze swego dzieła.

Line z trudem powstrzymywała łzy, przełknęła kilka razy ślinę i jakoś udało jej się nie rozpłakać.

Och, gdyby tak mogła pokazać się Berendowi! Nie odważyła się jednak wypowiedzieć tego na głos. Widziała, jak do domu wchodził lekarz. Domyślała się, że wezwano go do rannego.

- Wiesz, Line, musisz tylko trochę przytyć. Z czasem zejdzie brud z twoich dłoni, a wtedy strzećcie się, mężczyźni! - roześmiała się Gertruda, a pozostałe dziewczęta jej

zawtórowały.

Line zarumieniła się. Nieraz myślała o tym, czy pozna kiedyś jakiegoś mężczyznę. Czuła się jednak taka bezwartościowa. Ale teraz, kto wie... Opanuj się, Line! Chudzielec o rękach wiecznie uwalanych smołą nie powinien ważyć się na takie myśli. Trzeba stąpać twardo po ziemi. Żeby tylko przyjęto ją na służbę w tym przyjaznym domu!

Pani Grim, matka Berenda, klasnęła w dłonie z zachwytem, kiedy wróciła do kuchni i zobaczyła nową Line.

- Stangret czeka - powiedziała. - Zawiezie cię do rodzinnej wioski. Berend mówił, że chcesz najpierw jechać do domu, prawda?

- Tak, bardzo dziękuję!

- To rozsądne. Nie możesz przecież zniknąć bez słowa. Musisz powiadomić rodzeństwo. A poza tym rozmawialiśmy już z młodym bednarzem, który zgodził się poprowadzić wasz warsztat. Pomoże twemu rodzeństwu wyrabiać lepsze beczki. Jest bardzo zręczny, kiedyś u nas pracował. Cały zarobek ze sprzedaży należy się będzie twoim bliskim. My opłacimy bednarza.

- Ależ to zbyt wiele!

- Za życie mego syna? Z pewnością nie!

Line skierowała się do wyjścia.

W drzwiach odwróciła się i zdławionym głosem wyszeptała:

- Pani Grim, proszę pozdrowić ode mnie Berenda i życzyć mu powrotu do zdrowia. I jeszcze... czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak ładnie teraz wyglądam?

- Uczynię to z pewnością, droga Caroline! Wszystkiego dobrego w nowej pracy!

Matka Berenda stała i patrzyła, póki Line nie wsiadła do powozu. Na łagodnej twarzy malowało się współczucie i troska. Potem weszła do środka, żeby porozmawiać z doktorem o swym synu.

Berend będzie się musiał ukrywać. Pani Grim wiedziała, że Lidia Stake wysłała go z misją, której nie wypełnił. Wiedziała też, że zagrażali mu bandyci. Teraz będzie mógł działać swobodnie, bo nikt nie wiedział, że żyje. Oficjalnie spoczywał na dnie morza tuż za redą portu kopenhaskiego. Ci, którzy widzieli go po zatonięciu frachtowca, przyrzekli milczeć. Na lekarzu i domownikach mogła polegać. Przypuszczała, że również Caroline nie zawiedzie. Ta dziewczyna otaczała Berenda dziecięcym, bezkrytycznym uwielbieniem. Szkoda tylko, że pani Lidia pomyśli, iż królewski dokument przepadł. Trudno! Matka Berenda podejrzewała, że ktoś z domu Lidii maczał palce w zatopieniu frachtowca. Nie ośmieliła się jednak

powiedzieć tego głośno nawet synowi. Był on bowiem niepokojąco przewrażliwiony na punkcie wszystkiego, co miało związek z domem pani Lidii.

Starsza siostra, Lone, rozgniewała się nie na żarty.

- Jak mogłaś być tak bezgranicznie głupia, Line? Nie rozumiesz, co zamierza ten mężczyzna? Zrobi z ciebie swoją kochankę, nie pojmujesz, idiotko? Zresztą coś mi się zdaje, że już zaciągnął cię do łóżka. Inaczej by cię tak nie wystroił.

Line próbowała dzielnie bronić siebie i Berenda.

- To nie on mi dał ubranie, Lone! To jego matka. A ona jest wielką damą, prawdziwie wielką damą.

- O, tak, wyobrażam sobie, szykowna i szczebiotliwa, nieprawdaż? I ma wiele innych „uroczych” dam w różnych pokojach? W co ty nas znów wplątałaś?

- Posłuchaj mnie, Lone! - wtrąciła wreszcie Line.

Skupione wokół całe rodzeństwo spoglądało na nią bez zrozumienia, ba, wręcz z potępieniem.

- To porządny kupiecki dom, prawie szlachecki. A ja będę pracować jako służąca w innym szlacheckim domu, gdzie, jak zrozumiałam, mieszka wybranka Berenda. Jak mogło ci przyjść do głowy, że on chciałby mieć do czynienia z kimś takim jak ja?

Lone obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem, którego Line nie pojmowała. Starsza siostra ujrzała bowiem niezwykłą piękność, na którą niejednen mężczyzna miałby ochotę, gdyby nie była tak przeraźliwie chuda. Jest jeszcze co prawda taka młoda i dziecinna, ale to, jak Lone słyszała, ponoć bardzo pociąga niektórych paskudnych chłopów.

- Odebrałaś nam jedyne źródło utrzymania, Line! Z czego teraz będziemy żyć?

- Przecież tłumaczyłam, że będzie wam teraz pomagał młody bednarz.

- E tam!

- Wyślę wam wszystko, co zarobię na służbie!

- O, dziękuję, nie przyjmę pieniędzy za rozpustę!

- Chyba praca służącej nie jest grzechem? Poza tym Berend nie żyje - dodała. - Zatonął wczoraj wieczorem na frachtowcu.

- Co takiego? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Przecież nie dopuściłaś mnie do głosu! - Line uświadomiła sobie, że opowiadała o Berendzie tak, jakby żył. A więc nie można liczyć na jej dyskrecję! Musi coś szybko wymyślić! Postanowiła odwrócić kota ogonem, co nie było łatwe dla kogoś, kto nigdy nie kłamał. Ale dla Berenda Line gotowa była na wszystko.

- Prawdę powiedziawszy, jego śmierć miała być utrzymana w tajemnicy. Chodzi o to,

by pewni ludzie nie dowiedzieli się, że on nie żyje. Z jakiegoś powodu jest to bardzo ważne.

- Tak, ale przecież sama mówiłaś, że ofiarowano ci ubranie i pomoc za to, że uratowałaś mu życie.

A niech to! Nigdy nie należy kłamać, bo można się kompletnie pogрузić!

- Próbowалаm go uratować, ale mi się nie udało... zadowolona?

Lone zdawała się być prawie przekonana. Nie omieszkała jednak ostrzec siostry.

- Jeśli sprowadzisz na nas nieszczęście wyłącznie dla własnych korzyści, to biada ci, będziesz miała ze mną do czynienia!

Po tych słowach Lone się poddała. Line powiedziała jeszcze, że nazajutrz przyjedzie nowy bednarz, żeby się naradzić i porozmawiać o interesach, ale starsza siostra nie bardzo w to wierzyła.

Line rozejrzała się po ubogiej chacie. Popatrzyła na swe rodzeństwo w nędznych łachmanach, głodne i wystraszone. Może coś się odmieni teraz w ich życiu na lepsze? Jeśli tak, stanie się to dzięki niej. Jaka to krzepiąca myśl! Niczym plaster miodu na duszę spragnioną miłości innych ludzi.

A jeśli Berend w ten czy inny sposób pojawi się w życiu rodzeństwa? Jak wówczas im wytłumaczy, że jednak nie umarł?

Właściwie istnieje niewielkie ryzyko, że kiedyś go spotka. Może w domu Lidii Stake? Ale Lone i malcy nigdy się o tym nie dowiedzą.

Ech, nieprzyjemnie jest kłamać, a jakie to kłopotliwe!

Tego samego dnia późnym wieczorem Line przybyła do domu Lidii Stake. To był długi i obfitujący w wydarzenia dzień. Ze zmęczenia piekło ją pod powiekami, jakby w oczach miała piasek.

Za węgłem domu natknęła się na pośpiesznie odchodzącego człowieka. Ciarki przeszły jej po plecach. To był ów kaleki mężczyzna z okropną twarzą. Dziwne, że i tu go spotyka!

Obejrzała się. On także przystanął wsparty na kulach. Spostrzegłszy jednak, że Line patrzy na niego, gwałtownie odwrócił się i pokuśtykał dalej.

Line podeszła do drzwi frontowych i zapukała. Powitano ją serdecznie. Wszyscy jej oczekiwali, bowiem list matki Berenda dotarł wcześniej. O „śmierci” syna pani Grim nie wspomniała. Uznała, że to może poczekać. Wkrótce i tak pani Lidia zmartwi się z powodu utraty królewskiego listu, gdyż wieść o zatonięciu statku na pewno szybko się rozejdzie.

Line przydzielono pokoik blisko głównego wejścia. Niewielkie okno wychodziło na

ulicę. Tuż za ścianą mieściła się powozownia. Line miała zamieszkać wraz z innymi dziewczętami, które, jak przypuszczano, niebawem podejmą służbę. Tymczasem wprowadziła się tu sama. Wieczorem, zanim położyła się spać, wzruszona rozejrzała się wokół. Być może był to maleńki i niepozorny pokoik, ale Line wydawał się komnatą. Nieśmiało podeszła do łóżka i dotknęła pościeli. Czysta, starannie złożona i taka jasna! Wielki podziw wywołał w niej zestaw do mycia: dzbanek i miednica, a także nocnik. Miała tu nawet stół i krzesło - porządne meble, nie byle jakie skrzynki.

I maleńka firanka w oknie... Serce Line napełniło się ciepłem. Dziękuję, Berendzie, dziękuję za wszystko, co uczyniłeś dla mnie i mojego rodzeństwa.

Czy kiedykolwiek odpłacę się za okazane mi zaufanie? Będę pracować, będę pracować w tym domu ze wszystkich sił. Będę służyć milej pani Lidii całym swoim sercem!

Nigdy nie będziesz się musiał wstydzić, Berendzie, że zaopiekowałeś się Łachmaniarą! Nigdy!

Line, pełna wiary i ufności, wprost czuła rozpierający ją zapał. I tylko jedno napawało ją niepokojem, choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Obawiała się spotkania z wybranką Berenda.

W podniosłym nastroju wsunęła się do łóżka. Prawdziwe łóżko! A więc to takie uczucie? Jakie miękkie, jakie chłodne, obłoki na niebie nie byłyby wygodniejsze. Ona zaś czysta, włosy rozczesane, śliczne i schludne - czy to dziwne, że musiała obetrzeć łzę, która zalśniła w kąci oka?

To chyba jest pełnia szczęścia! Och, gdyby mogła je dzielić ze swym rodzeństwem! Jeśli będzie wytrwale pracować, to może któregoś dnia i oni przeżyją coś podobnego!

Dla nich gotowa jest na wszystko!

Line zgasiła świecę.

Na dworzu ktoś widział, że w okienku zgasło światło. Wszyscy w domu udali się na spoczynek. Jakaś postać skuliła się w mroku.

ROZDZIAŁ IV

Nazajutrz rano Line przystąpiła do pracy w domu pani Lidii pełna obaw, czy zostanie zaakceptowana. Tymczasem okazało się, że stary kamerdyner jest bardzo zadowolony, że ma się kim wyręczyć. Zlecał Line coraz to nowe obowiązki, i to takie, z których dziewczyna, nie nawykła do takiej pracy, nie była w stanie się wywiązać..

Na szczęście pani Lidia zauważyła, jak zabiera się do szorowania ciężkich tac, które ledwie zdołała udźwignąć, i kamerdyner musiał wysłuchać ostrej reprimendy. Z czasem Line nauczy się wykonywać to i owo, mówiła pani Lidia, ale teraz powinien sam zwrócić uwagę na to, że jest słaba i niedoświadczona.

Line obawiała się, że po tym incydencie służący będzie żywił do niej urazę, ale on zachowywał wobec niej taką samą jak przedtem chłodną rezerwę. Poza tym dziewczyną targały zmienne nastroje: to wpadała w zachwyt, oglądając coś pięknego, to znów ścisnął ją strach, że nie podoła wszystkiemu.

Późnym przedpołudniem pojawiła się panna Virginia.

Line zapatrzyła się na nią, zapominając o pracy. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś równie pięknego. Twarz jak najdelikatniejsza porcelana, smukła i pełna gracji sylwetka, suknia jasna, lekka i efektowna, blond włosy. Wyglądała niczym zjawisko, nieziemska istota.

Line ogarnęło niezrozumiałe przygnębienie. Nagle odniosła wrażenie, że kości wprost sterczą jej spod skóry, że jest zupełnie płaska tam, gdzie powinna mieć trochę ciała, podczas gdy to urocze zjawisko ma wszystko tak harmonijnie rozłożone. Virginia odwróciła się.

- A, to ty jesteś nową służącą - rzekła chłodno. - O co chodzi?

Line ukloniła się.

- O nic. Przepraszam!

Pośpiesznie opuściła pokój w poczuciu winy, ale już nie mogła skupić się na pracy ani na tym wszystkim, co ją wcześniej tak ciekawiło w tym domu. W kółko prześladowały ją te same myśli, a ona sama czuła przygnębiającą pustkę.

Tego samego dnia plotka o katastrofie „Tildy” dotarła do domu Lidii. Starsza pani przyjęła ją z ogromnym smutkiem. Bolała nie tyle nad utratą królewskiego listu, co z powodu Berenda. Czuła się odpowiedzialna za jego śmierć. Line ogromnie jej współczuła. Jak chętnie powiedziałaaby pani Lidii, że on żyje! Uważała, iż tak wspaniała osoba nie powinna niepotrzebnie cierpieć. Lecz przecież złożyła obietnicę, że będzie milczeć - dla dobra Berenda

- i nie złamie danego słowa. Nigdy więcej się nie wygada tak jak przed Lone.

Chłopiec, Ulrik, którego ledwie miała okazję zobaczyć, zamknął się w swoim pokoju. Widać i on był przywiązany do Berenda.

A panna Virginia? Co prawda zrobiła zatroskaną minę, wyszeptwała: „Och, jakie to smutne”, ale Line, która była do niej nastawiona trochę niechętnie, odniosła wrażenie, że widzi w jej pięknych lazurowych oczach triumfalny błysk. Ale oczywiście musiała się mylić. Przecież nie było słodszej istoty niż panna Virginia!

Po południu Line zaniósła panie Virginii do pokoju kubek z mlekiem i wtedy spotkała ją ogromna przykrość.

- Och, nie, fuj! - skrzywiła się Virginia - Gdzieś ty była, że masz takie ręce? W oborze? Nie będziesz mi więcej usługiwać. Powiem cioci Lidii, że jesteś niechlujna.

Line była zbyt zahukana, by uznawać ciężką pracę za powód do dumy. Czuła się mniej wartościowa z powodu swych zniszczonych rąk.

Wieczorem przy kolacji pani Lidia, której twarz, zazwyczaj taka pogodna, nosiła ślady zmartwień, zagadnęła Virginie:

- Co sądzisz o nowej służącej, która dość nieoczekiwanie pojawiła się u nas w domu? Czyż nie jest miła? A jaka chętna do pracy!

Virginia wymamrotała coś pod nosem.

- Co mówiłaś, kochanie? Musisz mówić do mnie głośniej, wiesz przecież!

- Powiedziałam, że jest bardzo niezdarna, ciociu, przynajmniej na razie.

- Musimy dać jej trochę czasu, moja droga. Ona nie przywykła do prac domowych.

- Ale jej ręce! Czy ona się nigdy nie myje?

- A tak, matka Berenda wyjaśniała to w swoim liście. Ta dziewczyna pracowała przy smołowaniu beczek, pewnie potrwa kilka miesięcy, nim uda jej się usunąć ślady tego czarnego paskudztwa.

- Pracowała przy smołowaniu beczek? - powtórzyła Virginia z niesmakiem, akcentując każde słowo. - Czy to jest zajęcie dla kobiet?

Lidia westchnęła.

- Nie, historia Line jest szczególnie tragiczna. Berend postąpił wielkodusznie, pomagając jej wydostać się z nędzy. Pomyśl tylko, nazywano ją Łachmaniarą! Matka Berenda pisała, że ta dziewczyna ubrana była w worki! Biedna mała, musimy być dla niej dobrzy!

Virginia siedziała skwaszona, ale Ulrik słuchał uważnie.

- To ciekawe - powiedział na swój dorosły sposób. - Poproszę ją, żeby opowiedziała

mi o swym życiu.

- O, tak, niewątpliwie ma doświadczenie w tym i owym - rzuciła zgryźliwie Virginia. - Skoro żyła w takich warunkach!

- Z pewnością nie - odpowiedziała gniewnie Lidia, a jej policzki pokryły się czerwonymi plamami. - Przecież to jeszcze dziecko!

- Dziecko? Ona? - wymruczała Virginia cicho, tak że jej słowa nie dotarły do ciotki. Wiedziała dobrze, że musi mieć się na baczności. Ciocia Lidia nie lubiła, by krytykowano tych, których przygarnęła pod swe skrzydła.

Tak jak na przykład tego smarkacza Ulrika. Jego nie można skarcić, choćby nie wiadomo jak się rządził. Bo jest taki inteligentny! Ona jest przynajmniej równie inteligentna, ale jakoś nikt o tym nawet słowem nie wspomni. A poza tym Flanckshof nie należy się temu smarkaczowi. Nawet nie nosi nazwiska von Flanck, tak jak ów przystojny Gustav.

A co z nią? Czy zasługuje tylko na to, by zbierać okruchy ze stołu ciotki Lidii? Ona, która ma urodę wspanialszą niż niejedna dama? Powinna być panią we dworze, tylko to jest dla niej dość dobre.

Ciotka Lidia próbuje wydać ją za Berenda Grima. Tak, tak, ten chłopak był w niej zakochany, dostrzegła to. Lecz przecież nie on jeden. Virginia może mieć kogo tylko zechce. A Berend? Z rodziny kupieckiej? Nie szlachcic? Na szczęście nie żyje. Będzie musiała opowiedzieć o tym Gustawowi... O ile go znajdzie!

Nagle Virginię naszła okropna myśl. Kiedy bracia von Flanck się dowiedzą, że Berend utopił się razem z królewskim listem, nic ich już tutaj nie zatrzyma. Staną się właścicielami Flanckshof i będą mogli tam powrócić. Musi jak najszybciej odnaleźć Gustava. Gdy ją zobaczy, pozostanie ze względu na nią.

Może dziś wieczorem? Teraz jest pewnie w gospodzie...

Nie, brama już zamknięta. Nigdy by nie dostała pozwolenia na tak późne wyjście. Musi poczekać do jutra.

Kolacja dobiegła końca, ciotka Lidia zadzwoniła. Wszedł służący. Lidia poprosiła, by przysłał Line, która miała posprzątać ze stołu.

Line weszła i spojrzawszy nieśmiało na Virginię, jakby chciała prosić o wybaczenie z powodu swych rąk, zaczęła nieporadnie i niezgrabnie zbierać talerze, robiąc przy tym okropny hałas.

Virginia obserwowała ją ukradkiem, pogardliwie wykrzywając usta. Musi pozbyć się tej dziewczyny, choć może się to okazać dość trudne. Trzeba działać szybko. Piękna panna nie lubiła Line od pierwszej chwili. Kierowała nią prymitywna zazdrość. Służąca w niczym

jej nie zagrażała, ale jej kobiecy instynkt podpowiadał, że ta Łachmaniara kiedyś może stać się ogromnie pociągająca.

A Virginia nie chciała mieć konkurencji na tym polu. Przypominała złą królową - macochę - z bajki o królowie Śnieżce. W domu było miejsce tylko dla jednej piękności!

Tej nocy Virginia nie mogła zasnąć. Przez cały czas wyobrażała sobie Gustava i Torbena, zdążających w kierunku Jutlandii. Pocieszała się jedynie myślą, że ci dwaj nie przedostaną się nocą przez cieśniny Wielki Bełt i Mały Bełt. Może więc poczekają do jutra. A jeśli nie? Dość, musi w końcu zasnąć, przecież jutro na spotkanie ze swoim Gustavem musi pójść świeża i wypoczęta. Ależ będzie zaskoczony, gdy ujrzy ją po tak długim czasie! Wyobrażała sobie, jak rozpozna ją, rozszerzy oczy z zachwytu i... Nie, teraz już musi spać!

Nazajutrz przed południem, kiedy Virginia wreszcie wyrwała się z domu i przyszła do gospody, okazało się, że dopisuje jej szczęście, ale nie do końca.

Co prawda bracia von Flanck nie wyjechali, ale też ich nie zastała, gdyż wyszli załatwiać jakąś sprawę. Spodziewano się, że wrócą w porze obiadowej.

Virginia miała trochę czasu, by odwiedzić brata. Przed gospodą musiała wyminąć okropnie szkaradnego kalekę.

- Uff! - syknęła ze złością. - Takim jak ty powinno się zabronić łązić po ulicach i straszyć porządnych ludzi!

Brat siedział nad kuflem w tej samej co zwykle knajpie. Nie był to najprzedniejszy lokal, o wiele gorszy od gospody Gustava, ale też zasoby finansowe brata znacznie się skurczyły. Hulaszcze życie kosztuje.

Virginia zastała go samego, ponieważ pora była wczesna. Oboje byli w świetnych humorach, podbudowani odniesionym sukcesem.

- Należy ci się podziękowanie za „katastrofę” - powiedziała Virginia. - Nie sądziłam, że ci się uda, mimo że dość długo nie wychodziłeś spod pokładu, podczas gdy ja rozmawiałam z kapitanem.

- Chcesz powiedzieć, że rozmawiałaś i kokietowałaś go na zabój - zażartował brat, który miał takie same delikatne rysy jak Virginia, tyle że jego twarz nie wyglądała równie świeżo. - No tak, mało kto dorównuje mi zręcznością, poza tym służyłem w artylerii. Wprawdzie niezbyt długo, ale trochę się tam nauczyłem.

- Jak sobie poradziłeś? Myślę o "Tildzie".

- O, to moja tajemnica, Pozwól, by rezultat mówił sam za siebie!

- Tak, to było doprawdy imponujące! Kochany bracie, jeśli dobrze rozegramy tę

partię, to wkrótce zostanę panią we Flanckshof, a wtedy nadejdzie kres twoich zmartwień.

- Czy już udało ci się spotkać braci von Flanck?

- Jeszcze nie, ale może za parę godzin. O, jak ja tęsknię za tą chwilą, kiedy wyprowadzę się z domu ciotki Lidii. Ciągle muszę się przypochlebiać, dziękować i być dla niej słodka, gdy tymczasem najchętniej naplułabym jej w twarz. Ale jeszcze zobaczy! Kiedy dostanę Flanckshof, wtedy ona będzie żebrać o okruchy. Ona i ten szczeniak Ulrik nie wślizgną się tam, możesz być pewien. Przekona się, co to znaczy być ubogim krewnym!

- Tak, na mnie też zawsze krzywo patrzyła. Nawet szylinga nie dostałem od tego skąpiradła!

Virginia nie słuchała.

- Teraz jest gorzej niż kiedykolwiek. Przyjęli służącą, największego kocmołucha, jakiego kiedykolwiek widziałam. A jaka nieporadna! Podobno nazywa się Łachmaniara, a może tylko tak na nią wołali. Zabroniono mi o tym mówić, I ona właśnie ma mi usługiwać. Słyszałeś coś podobnego! Nie mogę powiedzieć o niej złego słowa, bo ciotka Lidia obsypuje ją pochwałami. Mówi, że jest słodka! Też mi coś, nie ma nic w niej słodkiego.

Brat się zamyślił.

- Łachmaniara, powiadasz. Gdzie ja słyszałem to przezwisko?

Znał Kopenhagę na wylot. Na początku bywał na dworze, ale z czasem przestał do tego przywiązywać wagę i zaczął zaglądać do piwiarni i winiarni także w dzielnicy portowej.

Virginia rzekła pogardliwie:

- Podobno pracowała przy wyrobie beczek. I ten świętoszkowaty Berend ją stamtąd wyrwał. Chciał pewnie zrobić dobry uczynek.

Brat się rozpromienił. Choć nie był jeszcze stary, jego twarz nosiła ślady hulaszczego życia.

- Już wiem - powiedział. - Przypominam sobie, gdzie o niej słyszałem. Opowiadali mi o niej kompani. Kiedyś natknęliśmy się na nią w jednym z tych obskurnych zaułków w pobliżu portu, gdzie nikt nie mieszka. Ale, wyobraź sobie, ona tam mieszkała! I ją macie teraz w domu? Coś podobnego! - Umilkł zamyślony. - Ale poczekaj... - podjął za chwilę. - Widziałem ją tam całkiem niedawno. Chyba przed kilkoma dniami. Od kiedy jest u was?

- Przyszła wczoraj późnym wieczorem.

- Hm, a więc to ostatni w życiu dobry uczynek Berenda. Ale wiesz co, chyba cię odprowadzę do tych braci von Flanck. Dobrze będzie poznać swego przyszłego szwagra - zadrwił.

- Dobrze - zgodziła się Virginia, lecz ostrzegła: - Żebyś mi nie żebrał o piwo. A

zresztą możesz ze mną pójść. Zajmiesz się Torbenem, gdy ja będę uwodzić Gustava.

- To dla ciebie drobnostka. Pójdzie ci jak z płatka.

- Oczywiście, zwłaszcza że spotkałam go już kiedyś i przerwano nam, gdy spoczywałam w jego czułych objęciach, zanim jeszcze zaczęła się prawdziwa zabawa. Mnie na pewno nie zapomniał, o nie!

Brat i siostra wymienili uśmiechy. Zaraz też ruszyli do gospody, w której zatrzymał się Gustav.

Tym razem Virginii dopisało szczęście. Gustav i Torben właśnie się posilali Siedzieli w gospodzie przy stole pod oknem, skąd mieli doskonały widok między innymi na dom Lidii.

Virginia stanęła w drzwiach i spojrzała z zachwytem na Gustava von Flancka. Trudno o przystojniejszego szlachcica! Berend w porównaniu z nim to dzikus! Podeszła bliżej, a za nią jej brat.

- O, dzień dobry, jak miło znowu powitać! - odezwała się zalotnie. - Tak mi się właśnie wydawało, że w oknie dostrzegłam znajomą twarz.

Gustav obrzucił ją obojętnym spojrzeniem. W jego oczach pojawił się jednak błysk, jakby przypomnienie czegoś odległego. Trwało to zaledwie moment.

- Widziałem cię już kiedyś - rzekł. - Jesteś Ulla, nieprawdaż? Z gospody Fredens Kro. Czego chcesz? Nie masz dosyć? A może otrzymałaś zbyt niską zapłatę?

Virginia omal nie zemdląca. Z trudem łapiąc oddech, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała. Jej brat został.

- Panie - rzekł do Gustava. - Jakim prawem tak się zwracasz do mojej siostry, panny Virginii Stake? To dla mnie osobista obraza. Panie, wyzywam...

Gustav poderwał się z miejsca.

- Proszę wybaczyć, zaraz spróbuję to naprawić!

Pobiegł za Virginią i dopadł do niej tuż za progiem.

- Panno Virginio, ogromnie mi przykro! W gospodzie panuje mrok, a ja cały czas patrzyłem przez okno i kiedy się odwróciłem, widziałem panią jak przez mgłę. Sądziłem, że to pewna młoda dama, która od dłuższego czasu nachodzi mojego brata. Proszę mi pozwolić to naprawić! Zapraszam do środka. Proszę nie myśleć, że zapomniałem o pani, jakże bym mógł?

Te oczy... Sprawić, by napełniły się ciepłem. Chyba każda kobieta marzy o czymś takim.

- Rzeczywiście, w gospodzie jest dość ciemno - przyznała łaskawie Virginia i zawróciła. - Już dobrze - rzekła do brata. - To tylko pomyłka spowodowana skąpym

oświetleniem. - I kopnęła go dyskretnie, żeby się nie awanturował.

Gustav odnosił się do nich wyjątkowo serdecznie. Było mu na rękę nawiązać kontakt z kimś, kto mieszka w domu pani Lidii. A panna Virginia była przy tym taka słodka. Nie pojmował, jak to się stało, że kompletnie o niej zapomniał. Ale kiedy się spotkali po raz pierwszy na jakimś balu, była tylko jedną z wielu uroczych kobiet, a przy tym nazbyt chętną. Gustav nie przepadał za łatwą zdobyczą...

Miał nadzieję, że Virginia nie zacznie rozmawiać z Torbenem o nachodzącej go damie, bowiem ta dama nie istniała. Virginia jednak wcale nie interesowała się jego bratem, całą uwagę skupiła na Gustavie.

Na stole pojawiło się więcej wina i jedzenia. Dziewczyna z niezadowoleniem obserwowała swego brata Ottona, który bez umiaru wlewał w siebie trunki i coraz to podstawiał kufel, by ponownie go napełnić. Znów go dyskretnie kopnęła. Pewnie od tych ciągłych znaków poboлеwała go już kostka.

Wino złagodziło nieco napięty ton rozmowy. Virginia rzuciła niby to mimochodem:

- Niestety z tym statkiem!

Natychmiast podjęli wątek. Słyszeli plotki, że na pokładzie znajdował się młody kupiec...

- To prawda - odpowiedziała Virginia z rzadkim u niej ożywieniem. - Był zaprzyjaźniony z naszą rodziną.

- A cóż on robił na takiej nędznej krypie? - spytał Torben, a dźwięk jego głosu sprawił, że Virginia drgnęła. Mimo że dotąd nawet na niego nie spojrzała, wydał jej się wyjątkowo nieprzyjemny. Cóż za zimny, pozbawiony uczuć głos! I ten fałszywy wszystkowiedzący uśmiech.

Virginię przeszedł dreszcz. To jest brat Gustava! I jego nieodłączny kompan.

Na moment wytrąciło ją to z równowagi, ale zaraz podjęła wątek:

- Nazywa się Berend Grim. I miał zawieźć coś w imieniu mojej ciotki, chyba jakiś list królewski.

Bracia von Flanck rozsiedli się wygodnie, wyraźnie odprężeni. Dopiero teraz Virginia uświadomiła sobie, z jakim napięciem przysłuchiwali się wcześniej jej słowom.

- Jaka szkoda - rzucił Gustav od niechcena. - Taki młody człowiek, rokujący wielkie nadzieje na przyszłość... i ten list, zapewne bardzo cenny.

Otto, który zdążył już się upić, wybełkotał ze śmiechem:

- Tak, a wiecie, jaki był ostatni uczynek Berenda? Umieścił w domu ciotki Lidii Łachmaniarę!

Bracia nie zwracali na niego uwagi, ale Otto, niezrażony, ciągnął dalej:

- Wiecie, o kim mówię! To ta mizerota, którą można spotkać blisko portu. Zawsze targa jakieś beczki albo inny złom. Mieszka w walącym się baraku, obok tej wysokiej rudery z dźwigiem na zewnątrz.

- I taką szmatę Berend ulokował w naszym domu - dodała Virginia ze złością.

Ale bracia jej już nie słuchali. Gustav wyprostował się raptownie, a Torben wyraźnie wzmógł czujność.

- Kiedy ta Łachmaniara do was przyszła? - zapytał Gustav.

- Wczoraj - odpowiedziała Virginia.

- Wczoraj - powtórzył wolno Torben. - A niech to!

Bracia spojrzeli po sobie. Jak zwykle zrozumieli się bez słów. Przypomniało im się, jak walczyli z Berendem i ten zniknął im nagle z oczu pod domem Łachmaniary...

- Czy... Zamierzacie pewnie wracać niebawem na Jutlandię? - spytała ostrożnie Virginia.

- Nie, zostaniemy tu jeszcze przez jakiś czas - odrzekł Gustav, nie spuszczać wzroku z Torbena.

Virginia uśmiechnęła się w duchu. Jeszcze nikt się nie oparł jej urokowi. Wkrótce usidli Gustava. Zostanie panią we dworze Flanckshof. Może i on myśli właśnie o tym samym? Co do Torbena, to już ona osobiście dopilnuje, by go stamtąd wyrzucono. To wyjątkowo wstrętny typ!

Gustav zdawał się nie zauważać jej pełnych zachwyty spojrzeń. Nie miał czasu. Myślał wyłącznie o tym, że koniecznie trzeba sprawdzić dom Berenda. Mały wypad w tamtą okolicę może się opłacić.

A jeśli go tam nie zastaną...? Hm, wówczas Virginia może się przydać. Doprowadzi ich do Łachmaniary, jedynej osoby, która wie na pewno, gdzie jest Berend Grim.

ROZDZIAŁ V

Berend umieścił w domu Lidii wysokiego i silnego strażnika, który miał chronić jego mieszkańców przed intruzami, i od razu poczuł się znacznie spokojniejszy.

Line z dnia na dzień wykonywała swoje obowiązki coraz lepiej. Wiedziała już, że nie wszystko jest tak strasznie trudne, jak sądziła na początku. Pani Lidia okazywała dziewczynie dużo wyrozumiałości. Poza tym zatrudniono kucharkę i pokojówkę, tak że Line ubył trochę zajęć.

Panna Virginia nadal jednak traktowała ją nieprzychylnie - co prawda tylko wówczas, gdy były same. W obecności ciotki Lidii udawała pokorną ubogą krewną.

Ostatnio Virginia była jeszcze bardziej poirytowana niż zwykle. Często wychodziła z domu, a gdy wracała, na jej twarzy malowało się rozczarowanie. Jeśli Line znajdowała się w pobliżu, to na niej wyładowywała swe niezadowolenie.

Line nie wiedziała, że zły humor Virginii bierze się stąd, iż mimo ciągłych poszukiwań urodziwa panna nie może trafić na ślad Gustava von Flancka. A przecież spodziewała się, że to on będzie się za nią uganiał. Myślała, że wystarczy, by wyszła za próg, a on już znajdzie się przy niej!

Line sprzątała salon, który nazywano biblioteką, gdy spostrzegła młodego Ulrika zatopionego w lekturze. Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Umiesz czytać? - wykrztusiła.

Był co najmniej o siedem lat młodszy od niej, a stał tam zaczytany, jakby w życiu nie robił nic innego.

Chłopiec, nie podnosząc wzroku, powiedział:

- Mów do mnie paniczu Ulriku!

Rozśmieszyła ją myśl, że ma zwracać się per panicz do dziesięciolatka, ale dygnęła uprzejmie i zapewniła, że postara się o tym pamiętać.

- Co w tym dziwnego, że czytam? - spytał chłopiec zaciekawiony.

- Ależ panicz Ulrik to przecież jeszcze dziecko! Ja jestem już prawie dorosła, a nie znam nawet jednej litery.

- Dlatego, że jesteś ignorantką - stwierdził.

Line nie zrozumiała wprawdzie tego słowa, ale skwapliwie potwierdziła:

- Tak zawsze marzyłam, żeby umieć czytać!

- Dlaczego się więc nie nauczyłaś?

- Ach, ty głuptasie. Nie widziałam książek na oczy, zanim nie zamieszkałam tutaj!
Wcześniej tylko o nich słyszałam.

Udał, że nie dosłyszał, iż nazwała go głuptasem.

- Możesz zerknąć - pozwolił łaskawie. Tak naprawdę ucieszył się, że choć raz umie więcej od kogoś. Ponieważ był najmłodszy, często musiał znosić ponizające uwagi Virginii.

- Ojej - zdziwiła się Line. - Ile dziwnych malutkich figur.

- To są litery. Na przykład ta to twoja litera: L jak Line.

Wpatrywała się z zachwytem.

- O, tam też jest napisane Line. Dlaczego tyle o mnie piszą?

- To nie jest wyraz Line, idiotko, to litera L - zaśmiał się. - Jeśli połączysz razem tę literę i tę, i tę, i tę, to powstanie wyraz Line.

Chyba jeszcze nigdy Ulrik nie miał tak uważnego słuchacza? Nim się spostrzegli, już siedzieli przy stole i bawili się w nauczyciela i ucznia. Oboje z równym zapałem. Ulrik przyniósł papier i ołówek, a Line odpisywała każdą literę, by ją dobrze zapamiętać. Chłopiec obserwował zaskoczony, jak szybko przyswajają sobie wiadomości

Raptem dziewczyna się poderwała.

- Wielkie nieba! Przecież miałam pomagać kucharce. Ale będzie na mnie zła!

I tak już pozostało. Codziennie urywali sobie chwilę na naukę. Obojgu sprawiało to taką samą przyjemność. Line robiła olbrzymie postępy, a była żądna wiedzy jak mało kto.

Przestudiowała „Poradnik chłopca” i zapamiętała, jakich zasad należy przestrzegać przy upuszczaniu krwi, jaki jest wpływ planet w poszczególnych miesiącach roku i inne tego rodzaju informacje. Przeczytała też „Piekło”, część „Boskiej komedii” Dantego, głównie fragmenty o bezrękich nieszczęśnikach i temu podobne makabreski, bo takie najbardziej fascynowały Ulrika. Po tej lekturze Line nie mogła w nocy spać.

Może to i dobrze, bo inaczej nie usłyszałaby stukania kamyków o szybę. Zdarzyło się to mniej więcej po tygodniu jej pobytu w domu pani Lidii.

Leżała sztywna z przerażenia.

Znów stuknęło.

Line spuściła nogi za brzeg łóżka i ostrożnie wyjrzała przez okno. Szyba z grubego zielonkawego szkła zniekształcała widok, ale wydawało się jej, że dostrzeże w mroku jakąś postać. Ktoś kiwał do niej porozumiewawczo. Miał na sobie pelerynę... Berend? Czy będzie miała dość odwagi? Okienka nie da się otworzyć. Musi zaryzykować i wyjść na dwór.

Szybko narzuciła na siebie ubranie, przygładziła włosy i wymknęła się cicho do drzwi

frontowych. Wiedziała, gdzie służący zwykle wiesza ciężki klucz. Odsunęła zasuwę i przekreśliła klucz w zamku. Najpierw jednak spytała, by się upewnić:

- Kto tam?

- Berend Grim.

Odetchnęła z ulgą i wpuściła go do środka.

- Przejdźmy do twego pokoju - szepnął.

Weszli i szybko zamknęła drzwi, potem zaciągnęła zasłony i zapaliła świecę. Wreszcie spojrzała na niego. Jaki on wysoki!

- Co u ciebie słyhać? - spytała nieśmiało. - Czy rana już się zagoiła?

Berend wpatrywał się w nią bez słowa.

- Już myślałem, że się pomyliłem - wyjąkał wreszcie. - Ale przecież to ty jesteś Caroline, czyż nie?

- Oczywiście, że to ja - uśmiechnęła się niepewnie. - I już umiem czytać, no, prawie umiem...

Długą chwilę nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Zobaczył łagodną twarzyczkę i pełne blasku oczy. Kiedy widział ją ostatnio, ledwie tliło się w nich życie, z wycieńczenia, głodu i tęsknoty. Teraz miał przed sobą apetyczną buzię, naturalnie nie tak piękną jak Virginii, ale zaskakująco powabną.

Zebrał się w sobie i odpowiedział:

- Dziękuję, miło, że pytasz. Rana już mi się zrosła. Ale przez kilka dni nie mogłem się ruszyć z łóżka. Byłem bardziej osłabiony na skutek upływu krwi, niż mi się na początku wydawało.

- Gdzie byłeś? W domu?

- Nie, ukrywałem się na wsi. Nieważne, gdzie. Dziś przyjechałem konno do Kopenhagi, żeby odwiedzić matkę i usłyszeć nowiny. Matka mówiła mi, że jacyś mężczyźni kręcili się wokół domu i wypytywali o mnie służbę. Z opisu wynika, że to bracia von Flanck i jeszcze jakieś inne typy.

- Ale nic się nie dowiedzieli?

- Oczywiście, że nie. Wszyscy podtrzymywali wersję, że zginąłem. Ale matka powiedziała mi jeszcze jedno: Król Christian wraca do kraju. Wcale nie przebywał w Skanii. To były tylko pogłoski.

- W takim razie dobrze, że tam nie pojechałeś.

- Tak, byłby to daremny wysiłek - potwierdził. - Ale jeżeli bracia von Flanck również słyszeli tę wieść, to zaczną się spieszyć. Powinienem trzymać się z dala od nich aż do

przyjazdu króla.

- Nie musisz przecież stać! Usiądź, proszę!

Spoczął na krześle, Line zaś przycupnęła na brzegu łóżka. Jego wizyta obudziła w niej najpiękniejsze nadzieje. Szybko jednak pozbawił ją złudzeń.

- Uważałem - zaczął Berend trochę speszony - że powinienem zajrzeć również tutaj. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że wszyscy w domu pani Lidii myślą, że zginąłem. Jak... jak to przyjęła Virginia?

Line nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Pani Lidia strasznie to przeżyła. Ciągle jeszcze jest niepocieszona.

- A Virginia? Co powiedziała?

- Tego... nie wiem. Nie było mnie przy tym.

Ponieważ nie umiała kłamać, starała się nie patrzeć Berendowi w oczy, kiedy wypowiadała te słowa. Nie miała serca przytoczyć zdawkowej uwagi Virginii: „To smutne”.

Berend czekał przez chwilę, ale gdy nie rzekła nic więcej, westchnął:

- Caroline, myślę że nie ma sensu ukrywać przed nimi, że żyję. Powiedz im, że nie zginąłem, ale tak, by nikt inny tego nie słyszał.

- Chętnie to zrobię. Pani Lidia tak się ucieszy!

Znów czekał, że powie coś o Virginii, ale nadaremnie.

Po chwili oznajmił:

- Matka przekazała mi jeszcze jedną wiadomość, bardzo niepokojącą. Lepiej więc będzie, że panie w tym domu dowiedzą się prawdy. Powiedziała mi mianowicie, że dziadek walczy ze śmiercią. Wprawdzie choruje już od dawna, więc nie spadło to na nas tak całkiem nieoczekiwanie, jednak mama mówi, że jest strasznie niespokojny. Żałość zbiera, gdy się na niego patrzy! Zrozum! Jestem ostatnim z rodu, który nosi jego nazwisko. Nie chce umrzeć, póki się nie dowie, że się żenię.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie chce, by wymarł jego ród, a wraz z nim imperium kupieckie, które zbudował. Ja mam wszystko odziedziczyć, a największym i jedynym pragnieniem dziadka jest, bym doczekał się potomków, którzy po mnie przejmą wszystko,

- Aha - rzekła Line bezbarwnie.

- Dlatego pomyślałem, że poproszę pannę Virginię, aby pojechała ze mną do domu dziadka, do Brönshøj. Byśmy wspólnie przekonali staruszkę, że nie musi się martwić o ciągłość rodu. Może wtedy uzna, że pora spokojnie odejść z tego świata.

- Tak, oczywiście - przytaknęła nijako. - A więc jesteście już z panną Virginią po

słowie?

Stropił się.

- Nie, jeszcze nie. Ale gdybyś mogła poprosić ją, aby przyszła jutro, powiedzmy, gdy słońce będzie w zenicie, do wodopoju tuż za bramą miejską. Wtedy z nią pomówię i pojedziemy do Brönshöj.

Line znalazła się w potrzasku; o tym że Berend żyje, zamierzała powiedzieć wyłącznie pani Lidii. Przed Virginią chciała to zataić. Nie ufała za grosz tej zarozumiałej szlachciance.

- Czy nie uważasz, że to nazbyt ryzykowne? - spytała ostrożnie.

- Absolutnie nie - odpowiedział urażony. - Wiem, że godna jest najwyższego zaufania.

A poza tym możesz przecież odprowadzić ją do bramy miejskiej, czyż nie? Dopilnujesz, żeby się jej nic nie stało.

Line zeszywniała z niechęci.

- Jutro nie mogę. Będę pomagać przy praniu.

- Szkoda - spochmurniał Berend. - W takim razie będzie musiała przyjść sama, Ale nie mów jej, o co chodzi. Sam wszystko wytłumaczę. To nie jest znów tak daleko...

- Myślisz o bramie Norreport? - spytała ze smutkiem.

- Tak. Obiecujesz, że jej to przekażesz?

Długo się namyslała. A przecież nie miała pojęcia o związkach łączących pannę Virginię z braćmi von Flanck! Chciała jedynie rzucić mu w twarz, że jest głupcem, jeśli zakochał się w tej antypatycznej, wręcz odpychającej pannie! Ale takich rzeczy się przecież nie mówi.

Westchnęła ciężko:

- Zrobię, jak prosisz, Berendzie. Zrobię to dla ciebie!

- Nie wyglądasz na zadowoloną - zauważył i spojrzał na nią badawczo. - Nie jest ci tu dobrze?

- Ależ tak! Bardzo dobrze! - Czyż mogła opowiedzieć mu o swych marzeniach? O uczuciu szczęścia, które ją na wskroś przenikało za każdym razem, gdy o nim myślała? Zdawała sobie sprawę, że to beznadziejne, ale przecież nie można nikomu zabronić marzeń, nawet jeśli wiadomo, że nigdy się nie spełnią.

Zawstydzona tym, że po policzkach spływają jej łzy jak groch, odwróciła się gwałtownie.

- Ależ, Caroline - zdziwił się Berend, ujmując ręką jej podbródek.

- Jestem tylko taka niespokojna, że coś ci się może przydarzyć, albo że...

- Że co?

- Och, nie wiem. Jestem głupia. Zapomnij o tym! Zrobię, jak prosisz.

Nie cofając ręki, Berend rzekł:

- Wiesz, Caroline, zrobiłaś się śliczna!

Odsunęła się wzburzona.

- Nie mów tak! Nie chcę tego słuchać!

Berend patrzył zdziwiony.

- Rzeczywiście osobliwy sposób przyjmowania komplementów!

Line obtarła twarz.

- Nie przywykłam do komplementów. Nie chciałam być niegrzeczna.

- Ale co się stało, Caroline? Myślałem, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Ty tymczasem złościsz się na mnie. - Próbował wziąć ją za rękę, ale ona cofnęła się pośpiesznie.

- To tylko dlatego, że jestem strasznie zawiedziona i sama nie rozumiem, dlaczego.

- Zawiodłaś się na mnie?

- Tak! - wykrzyknęła nieszczęśliwa do granic wytrzymałości. - Uważałam cię za przyjaciela, starszego, silniejszego, przy którym można się czuć bezpiecznie. Za kogoś fascynującego! Tymczasem ty zachowujesz się jak głupiec!

Line powiedziała to, nieświadoma starej prawdy, że każdy mężczyzna, starający się o rękę innej kobiety, uważany będzie za głupca przez tę, którą pominął.

W tej samej chwili pożałowała, że tak się uniosła.

Twarc Berenda stężała. Poczuł się dotknięty do żywego. Nie był w stanie ocenić sytuacji jej oczyma. Dla niego pozostawała Łachmaniarą, mimo że szczerze nienawidził tego przezwiska i nigdy nie pomyślał o niej inaczej jak Caroline. Ale dzieliła ich przepaść. Berendowi nawet do głowy nie przyszło, że kiedykolwiek mógłby się w niej zakochać. Był spadkobiercą przesądów nagromadzonych przez kilka pokoleń. Dla niego Line to jedynie uboga dziewczyna, do której czuł coś na kształt ojcowskiej czułości.

Dlatego nie pojmował jej gwałtownego wybuchu, nie rozumiał, czemu płacze zraniona, a zarazem pełna skruchy.

- Berendzie, ja wcale tak nie myślałam - szlochała. - Nie wiem, co mnie napadło, że powiedziałam ci tyle przykrych rzeczy. Tobie, który byłeś dla mnie taki dobry jak nikt. Co mam zrobić, żebyś się na mnie nie gniewał?

- Właśnie chciałem spytać ciebie o to samo - wyznał. - Ale jeśli zgodziłabyś się porozmawiać z Virginią i poprosić ją, by przyszła jutro...

Spojrzała z wyrzutem, chlipnęła i wyrzekłszy krótkie „tak”, omal się na nowo nie rozszołała. Ale nawet wówczas Berend nie pojął, jaka jest prawdziwa przyczyna jej płaczu.

Była dla niego kimś nowym i obcym, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Z tego powodu poczuł się dziwnie niepewnie. Pośpiesznie udał się więc do wyjścia.

Tej nocy Line nie potrafiła oddać się marzeniom.

Żadne z nich nie wiedziało, że Virginii wreszcie dane było nieco odetchnąć tego wieczoru. W czasie jednej ze swych licznych wędrówek w poszukiwaniu Gustava natknęła się na braci von Flanck zmierzających do gospody. Torben i Gustav nie znaleźli Berenda, choć coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że żyje. Kilka razy widzieli w mieście jego matkę. Nie wyglądała na osobę pogrążoną w żałobie po stracie syna, w każdym razie nie wtedy, kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy.

Bracia von Flanck nie byli pewni Virginii, dlatego postanowili poddać ją próbie, nim cokolwiek powiedzą o Berendzie.

Intrygi, kręactwa - taką grę opanowali do perfekcji.

Zaprosili dziewczynę na obiad do gospody i tym razem naprawdę popisali się galanterią. Oczy Gustava błyszczały, gdy na nią spoglądał. Virginia bawiła się znakomicie, nie zapominała jednak, by zachować odpowiedni dystans. Niech nie sądzi, że jest taka chętna! Musi się trochę potrudzić, nim otrzyma nagrodę!

Przez chwilę żartowali, jednak bracia szybko znudzili się nic nie znaczącą paplaniną i Gustav zagadnął na pozór obojętnie:

- Co słyhać...? Ta dziewczyna, która u was pracuje, ta Łachmaniara... Chętnie zamienilibyśmy z nią parę słów.

- Po co? - Głos Virginii przybrał od razu ostrzejszy ton.

Po twarzy Gustawa przemknął ledwo dostrzegalny grymas irytacji. Virginia spostrzegła to i zrozumiała, że powinna być bardziej ostrożna.

- Żeby powiedzieć jej kilka mocnych słów - poprawił brata Torben. - Musimy z nią wyrównać rachunki. Chodzi o kradzież sprzed jakiegoś czasu...

To co innego! Virginia rozpromieniła się na nowo.

A Torben bynajmniej nie kłaniał. Łachmaniara rzeczywiście skradła drapieżnikom wprost sprzed nosa ich zdobycz, Berenda Grima...

Jeśli ktokolwiek wie o miejscu jego pobytu, to zapewne jest to ta dziewczyna. Nie mogli wyciągnąć tej informacji od matki Berenda, gdyż nigdy nie była sama. Ale prosta służąca...

- Czy mogłabyś, pani - zaczął Torben przymilnie. - Czy mogłabyś wysłać jutro dziewczynę z jakaś sprawą... A my się już nią zajmujemy!

To brzmiało obiecująco.

- Jutro to niemożliwe - odparła z żalem. - Jutro w domu porządki i biada temu, kto spróbuje się wymigać! Ale pojutrze?

Bracia skinęli głowami. Jeden dzień wcześniej czy później, to nie miało znaczenia.

- Czy mieszkacie teraz tutaj? - spytała.

Bracia spojrzeli po sobie.

- Tak - odparł Gustav. - Jeśli będziesz chciała się z nami podzielić jakimiś wiadomościami, na przykład dotyczącymi Łachmaniary, to znajdziesz nas tutaj.

Audjencja skończona. Virginia łudziła się, że Gustav poprosi ją o spotkanie na osobności, ale on nie wspomniał o tym ani słowem. Pozostawało mieć nadzieję, że wkrótce nadarzy się kolejny pretekst do rozmowy.

Nie miała pojęcia, że to nastąpi tak szybko.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu Łachmaniara weszła do salonu i dygnęła nisko przed Virginią, panią Lidią i Ulrikiem. Dla zarozumiałej panny służąca nadal pozostała Łachmaniara, mimo że przemieniła się w miłą i zadbaną osóbkę. Właściwie Line była teraz całkiem zwyczajną, tyle że niezwykle powabną młodziutką pomocą domową. Ale tego Virginia nie chciała dostrzec. Line miała radosną minę.

- Pani Lidio - zaczęła - polecono mi przekazać radosną nowinę!

- Co ty mówisz? Rzeczywiście przydałoby się usłyszeć coś miłego w tych ciężkich czasach - rzekła matrona, zajmująca honorowe miejsce u szczytu stołu, ubrana w czarną suknię i koronkowe nakrycie głowy.

Line rozpromieniła się.

- Pan Berend Grim nie znajdował się na pokładzie zatopionego frachtowca. On żyje!

- Co takiego! - wykrzyknęli chórem pani Lidia i Ulrik.

Virginia nie odezwała się słowem. Line nie podobało się jej spojrzenie bez wyrazu.

- Hura! - wołał Ulrik, a pani Lidia wybuchnęła płaczem.

- Och, jakie to szczęście! Radość dla matki! Dla nas wszystkich! Nieprawda, Virginio?

- Tak, ciociu.

Chyba nie można było wypowiedzieć takich słów bardziej obojętnym tonem. Line dodała szybko:

- Z pewnych powodów pan Berend musi pozostać w ukryciu. Dlatego proszę wszystkich państwa, abyście nie rozgłaszali tego i utrzymali w tajemnicy wiadomość o jego egzystencji aż do chwili, gdy przekaże wiadomość.

- Ha! Egzystencja! Tego słowa nauczyła się ode mnie - z triumfem oznajmił Ulrik. - Oczywiście, że nikomu nie piśniemy słowa o tym, prawda, babciu?

- Z pewnych względów... - powtórzyła pani Lidia zamyślona. - Czy nie chodzi tu przypadkiem o Gustava i Torbena, moich nieznośnych bratanków? Berend ma przecież list królewski! Co ty na to, Virginio? Przyszekasz, że dochowasz tajemnicy?

- Tak, ciociu!

Line zwróciła się do niej ze słowami:

- Panno Virginio, pan Berend ma dla pani poufną wiadomość!

Westchnąwszy ciężko, Virginia wyszła z jadalni za Line.

- Słucham? - rzekła lodowatym tonem, jaki zwykle przyjmowała w rozmowie ze służącą.

Line była zdenerwowana, wcale nie miała ochoty przekazywać tej wiadomości.

- Pan Berend potrzebuje pani wsparcia, panno Virginio. Prosił, by przyszła panienka do tego dużego wodopoju tuż za bramą Norreport dziś w samo południe. To sprawa życia lub śmierci.

- A po cóż ja mam tam iść? O co mu chodzi?

- Tego nie wiem, panno Virginio.

- Oczywiście, nie wiesz!

W pięknej główce Virginii wreszcie coś zaświtało. Berend żyje! Berend, który jest w posiadaniu królewskiego listu! Czy nie jest to wiadomość, którą należałoby przekazać Gustawowi? I jeszcze Łachmaniara, o którą pytał Torben!

Line nie potrafiła wytłumaczyć spojrzenia panny Virginii. Chytre? Podstępne? A może wyraża jeszcze coś innego? Stłumiła drżenie.

- To bardzo ważne - powtórzyła.

- Dzisiaj - rzekła Virginia z udanym przestrawieniem. - Nie, niestety nie będę mogła, idę na przyjęcie na dwór królewski. Pójdiesz do Norreport i powiesz panu Berendowi, że jest mi okropnie przykro, ale dziś nie mogę przyjść. Może jutro.

- Ale pranie? Muszę...

- Żadnego ale, nie możemy pozwolić, by tam czekał. Powiadomię o tym w pralni.

Zaledwie kwadrans później Virginia była już w gospodzie. Swymi nowinami rozpałała niedobre błyski w oczach braci von Flanck. Berend Grim podany na półmisku! A jeśli uda mu się wymknąć, to zawsze pozostanie im jeszcze Łachmaniara, która z pewnością zna jego kryjówkę.

- Sprowadź swego brata, Virginio! - polecił Gustav, a z brzmienia jego głosu

wywnioskowała, że tym razem jest z niej zadowolony.

ROZDZIAŁ VI

Mały Ulrik nie posiadał się z radości, że Berend, jego dobry przyjaciel, żyje. Musi natychmiast pójść do miasta i kupić nowy kij do krykieta, w którego grywał z Berendem, bo stary na nieszczęście się połamał. Babcia Lidia nie chciała puścić chłopca samego, ale ponieważ było to niedaleko, poleciła Line, którą na chwilę zwolniono z pralni, by towarzyszyła Ulrikowi. Tak będzie bezpieczniej, uznała.

W rzeczy samej nic im nie groziło, bowiem bracia von Flanck zaniechali obserwacji ich domu z okien gospody.

W drodze powrotnej Ulrik wymachiwał z dumą nowym kijem, siejąc postrach wśród przechodniów. Nagle stanął i wbił wzrok w odrażającą postać, która kuśtykając krok za krokiem zbliżała się do nich.

- Okropność - wymamrotał.

Line spotykała kalekę nie po raz pierwszy, ukloniła się więc odruchowo i uśmiechnęła przyjaźnie jak do dobrego znajomego. Okaleczony biedak odkłonił się nisko z największym szacunkiem.

- Dlaczego go pozdrowiłaś? - spytał Ulrik. - Znasz go?

- Często go spotykam.

- On jest wstrętny, odpychający.

- Czy panicz Ulrik sądzi, że on tego nie wie? - zapytała Line. - Kiedy spotykam takich ludzi, zawsze staram się myśleć, że ciało jest tylko futerałem, w którym ukrywa się prawdziwy człowiek, myślący czujący i cierpiący tak samo jak inni. W rozmowie z kaleką przywołuję tego człowieka, który jest w środku.

Ulrik zatrzymał się.

- Poczekaj chwilę! - rzekł i pędem zawrócił.

- Paniczu Ulriku! - krzyknęła Line zaniepokojona, ale chłopiec już stał przy odrażającym strzępku człowieka i kłaniał się grzecznie. Line nie usłyszała, co powiedział, ale zauważyła, że kaleka próbuje się uśmiechnąć. Skinął głową i odpowiedział coś chłopcu, choć wymagało to od niego ogromnego wysiłku. Gdy Line podeszła bliżej, spostrzegła, że z jedyne go oka nieszczęśnika płyną łzy.

- Wspaniały chłopiec - wydusił z siebie. - Serdeczne dzięki, panienko!

- Och, nie ma za co - mruknęła trochę zakłopotana.

Milcząc powędrowali do domu. Ulrik odezwał się w końcu:

- Zrobiłem tak, jak mi poradziłaś, Line. Rozmawiałem z człowiekiem ukrytym w środku i okazało się, że wcale nie jest taki okropny. Ten biedak był żołnierzem, okaleczyła go kula armatnia.

- To on jest taki młody? - zdziwiła się Line. - Sądziłam, że to staruszek.

- Na jego miejscu też bym się przedwcześnie zestarzał - rzekł z dorosłą powagą Ulrik. Line uśmiechnęła się wzruszona.

- Ten człowiek miał rację. Panicz Ulrik jest wspaniałym chłopcem.

- Nieprawdaż? - zażartował Ulrik i oboje się roześmieli.

Wrócili i Line ponownie została odesłana do pomieszczenia, gdzie wśród kłębow pary i przyjemnej woni gotowanej bielizny królowały praczki. Nikt nie powiedział Line złego słowa, mimo że nie było jej jakiś czas. Wszyscy wiedzieli, że wypełniała polecenia pani Lidii.

Gdy jednak krótko po tym przysła panna Virginia, by znów ją zabrać, nie poszło tak gładko. Kobiety zaczęły szemrać między sobą, aż panna Virginia za pomocą niezbyt wyszukanych słów przywołała je do porządku.

Ta panna była wielce niepopularna wśród służby.

Line nie miała najmniejszej ochoty z nią iść, ale musiała...

Berend czekał przy wodopoju, gdzie zazwyczaj przyprowadzano konie. Dzieciaki też chętnie się tu pluskały. Tutaj kobiety płukały bieliznę, stąd czerpano wodę do picia i dla zwierząt. Nikomu nie przychodziło do głowy, że wybuchające co pewien czas epidemie mogły mieć swe źródło właśnie w tym miejscu.

Berend, nie wiedząc dlaczego, odczuwał niepokój i zdenerwowanie. Źle spał w nocy pełen obaw, czy Virginia przyjdzie i co on jej powie. Zamierzał się oświadczyć, wyłożyć sprawę najlepiej jak potrafi. Włożył najlepsze ubranie i... no cóż, wiadomo, w takiej chwili każdy się denerwuje.

Ale może nie o to chodzi? Próbował wyobrazić sobie Virginię przy łóżku dziadka i nagle wydało mu się to niestosowne. Czy zrobi na dziadku, który jest taki bystry, dobre wrażenie? Jest piękna jak kwiat, ale...

Nie, nie spóźniała się. To on przyszedł za wcześnie. Wyzaczył doprawdy idiotyczną porę. Gdzie to słońce? Powinien przewidzieć, że może być pochmurno.

Nie opodal bawiły się brudne i obdarte dzieciaki. Usiadł na krawędzi studni, zmęczony staniem. Powóz zostawił w pobliżu pomiędzy domami. Przewidując, że zatrzyma się tu przez dłuższą chwilę, wyprzągł konia i puścił go, by poskubał trawę.

Czemu był taki z siebie niezadowolony? Czemu mierziła go ta sytuacja? Może miejsce

wydało mu się nagle nie dość dobre na oświadczyzny? A może wiązało się to w jakiś sposób z Caroline i tym, co powiedziała: że zachowuje się jak głupiec?

Te słowa dopiekły mu, nie da się ukryć. Nie chciał uchodzić za głupca w oczach służącej. Służba powinna czuć szacunek dla swych panów. Uff, co za idiotyczne myśli! Nie czuje się panem Caroline. Raczej jej dobroczyńcą. To też niemądre! Może miłym wujaszkiem albo przyjacielem? Ale nawet wujaszkwowie nie lubią, gdy się ich nazywa głupcami.

Lepiej pomyśleć o Virginii! To miłsze aniżeli wspomnienie, że naraził się na śmieszność. Jak ona teraz wygląda? Chyba nie sposób zapomnieć twarzy tak cudownej, sylwetki tak doskonalej. Berend przycisnął ręce do skroni i jęknął zrezygnowany. Do tego ten ból głowy!

Wkrótce jednak czekały go poważniejsze kłopoty.

Na mostek szybkim krokiem weszła jakaś kobieta. Berend poderwał się. Ale... przecież to nie Virginia, to Caroline!

Zawrzał w nim gniew. Miała śmiałość przychodzić tu z tłumaczeniem, że nie przekazała Virginii jego prośby?

Line przestraszona spojrzała na Berenda, a jej oczy błagały o wybaczenie.

- Mam przekazać pozdrowienia od panny Virginii i zawiadomić, że dziś nie może przyjść. Wybiera się na dworskie przyjęcie. Może jutro.

- Jutro? Jutro może być za późno! Czy nie powiedziałaś jej, że to pilne? Że mój dziadek leży na łożu śmierci?

- Zabroniłeś mi o tym mówić. Powiedziałam jedynie, że to niezwykle ważne. Sprawa życia lub śmierci.

- Rzeczywiście, miałaś przecież nic nie mówić. A więc ona nie domyśliła się, o co chodzi. Biedactwo, nie mogę mieć do niej żalu. Ale co ja teraz zrobię? Przekazałem przez posłańca, że przyjadę dzisiaj z moją przyszłą żoną, a ona tymczasem bawi na przyjęciu u dworu!

Berend patrzył na Line zamyślony. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Tak, to mogłoby się udać!

- Caroline, dziś będziesz udawała Virginie.

- Ach, nie! - jęknęła.

- Dlaczego nie? Wyglądasz naprawdę ładnie. Bez trudu mogłabyś uchodzić za damę. Naturalnie musisz zdjąć z głowy szal. Dobrze, gdyby suknia była nieco strojniejsza, ale ujdzie.

- A ta wielka mokra plama z przodu! Przecież dopiero co odeszłam od prania.

- Plama wyschnie. Natomiast nie powinnaś odzywać się zbyt wiele. Mowa cię zdradza.

- Nigdy nie używam brzydkich słów. - Line poczuła się urażona.

- Wiem, ale tu nie chodzi o słowa. Raczej o wymowę i dobór słownictwa.

- Ale ja nie chcę, żebyś nazywał mnie Virginią!

- No! To znaczy, że już prawie się zgodziłaś ze mną pojechać. Dziadek nie wie, jak nazywa się moja wybranka. Możesz więc pozostać przy swoim prawdziwym imieniu.

- Tak, ale ja nie mogę, nie chcę! Czy nie rozumiesz, że sprawiasz mi ból, pozwalając, bym wyobrażała sobie różne rzeczy?

- Że należysz do wyższych sfer? Nie martw się, zaraz po tym wybiję ci to z głowy - uśmiechał się zachęcająco.

Ale Line go nie słuchała. Rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w czterech mężczyzn, którzy zbliżali się do nich.

- Berend, kto to jest?

Odwrócił się i w jednej sekundzie zrozumiał. Bez namysłu porwał dziewczynę za sobą i podbiegli do konia. Na szczęście mieli przewagę, więc Berend zdążył podsadzić Line i sam wskoczyć na koński grzbiet. Odjechali galopem.

Bracia von Flanck zakleli szpetnie. Przyszli pieszo. Sądziło się, że Berend przybędzie powozem. Zaskoczyło ich, że koń paść się swobodnie.

Tymczasem uciekinierzy dawno zniknęli im z oczu.

Bracia von Flanck ogarnęła bezgraniczna wściekłość.

Koń nie był osiodłany, miał jedynie uprzęż do powozu, tak że jechało się im fatalnie niewygodnie. Do tego Berend kluczył bocznymi ścieżkami, żeby zmylić pogoń.

Szybko jednak się zorientował, że nikt ich nie ściga.

- Chyba zamierzali uprowadzić nas moim powozem.

Koń szedł teraz stępa. Line była poobijana na całym ciele i czuła się jak szmaciana lalka z naderwanymi rękami i nogami.

- No tak, teraz chyba nie mam wyjścia - westchnęła. - Ale nie podoba mi się to, że mam oszukiwać starszego pana.

- Caroline, sprawisz mu radość. To jest najważniejsze. Przecież zostało mu niewiele dni życia.

- Berend - rzekła zamyślona. - Chyba nie chodzi o to, że zostaniesz pozbawiony dziedzictwa, jeśli nie pokażesz swej przyszłej żony?

- Nie, tak czy inaczej jestem spadkobiercą dziadka. Jemu zależy na czymś innym: na ciągłości rodu.

- To dobrze, bo gdyby chodziło o pieniądze, nie zgodziłabym się.

Spostrzegła, że Berend uśmiechnął się, ale był jakoś dziwnie milczący. Pewnie martwi się z powodu Virginii, pomyślała. Chciał ją wszystkim pokazać, jest przecież taka piękna.

Ale Line źle odczytywała myśli Berenda. Zupełnie co innego chodziło mu po głowie. W jaki sposób bracia von Flanck się dowiedzieli, że będzie przy wodopoju? A ten mężczyzna, który im towarzyszył... Chyba go zna?

Nie, nie chciał nawet o tym myśleć. Stanęli. Berend obrzucił Line krytycznym spojrzeniem. Czy prezentuje się odpowiednio? Mokra plama wyschła, a więc suknia od biedy ujdzie. Zresztą to jedna z sukien po jego siostrze. Buty są trochę zdeformowane, na szczęście ich nie widać. Gorzej z włosami. Pod wpływem wilgoci panującej w pralni skręciły się w drobne loczki, które sterczały na różne strony.

Wspólnie upięli prostą i skromną fryzurę, odpowiednią na taką okazję. Line miała włosy blond, tak jak Virginia, jednak o ciemniejszym odcieniu. Włosy Virginii przypominały barwę złoto!

Berend stłumił westchnienie i zarzucił Line pouczeniami i poleceniami. Ogarnęło go silne zdenerwowanie, choć jednocześnie odczuwał pewną ulgę. Oczy Line wyrażały znacznie więcej ciepła i przyjaźni niż oczy Virginii. Berend łudził się nadzieją, że dziadek - oczarowany spojrzeniem dziewczyny - nie zwróci uwagi na język, jakim się posługuje, i na jej maniery.

Jechali przez las bukowy. Drzewa, złocistozielone w porze późnego lata, tworzyły nad nimi majestatyczne sklepienie. Line westchnęła zauroczona, Berend w pełni podzielał jej zachwyt.

- Nie wiedziałam, że Dania Jest taka piękna - wyszeptała.

Wzruszyło go to. Dziewczyna pewnie nie oglądała zbyt wielu zakątków kraju. Nagle zapragnął pokazać jej więcej.

I oto dotarli do celu. Ochmistrzyń wpuściła ich do środka. Dziadek leżał w pokoju w okazałym łożu. Jak zeszcupłał, jak się skurczył! A taki był kiedyś z niego potężny mężczyzna. To on zbudował imperium kupieckie, a ojciec je potem jeszcze powiększył. Teraz przysłała kolej na Berenda, by przejął ster.

Starzec ujął w swe ręce dłoń dziewczyny.

- Masz szorstkie dłonie, moje dziecko?

Och, co z tego wyniknie? pomyślał Berend.

- To prawda, nigdy nie stroniłam od pracy. Sens życia nie na tym polega, by siedzieć z założonymi rękami.

- Bardzo słusznie - potwierdził staruszek. - Taką się właśnie kierowałem dewizą na początku mej drogi. A nie zmarnowałem życia! Nieprawdaż, Berendzie?

- Tak, dziadku - potwierdził bezbarwnym głosem.

- Wybrałaś sobie piękną pannę, mój chłopcze. Czarującą! Mam nadzieję, że będzie dla ciebie miła.

- Z pewnością. Caroline ma dobre serce.

- To widać od razu. Caroline, tak się cieszę. Już myślałem, że ten łobuziak nigdy się nie ożeni. A staremu człowiekowi smutno, gdy pomyśli, że jego szacowne nazwisko rodowe wnet zginie. Obiecuj, że dasz mu liczne potomstwo! Proszę, obiecuj mi.

- Obiecuję - powiedziała Line, nie patrząc w stronę Berenda. Poczula, jak jej twarz zalewa rumieniec.

- Dobrze! Teraz opowiedz mi, dziecko, trochę o sobie. O swojej rodzinie.

- Mam dużo rodzeństwa - zaczęła Line zgodnie z prawdą.

- O, to dobra wróżba. Znaczy, że będziesz mogła mieć dużo dzieci ze swoim Berendem. A rodzice? Co robi twój ojciec?

- Rodzice nie żyją. Nie chciałabym...

- Rozumiem, rozumiem, nie zamierzam cię dręczyć. Ale zadziwia mnie trochę twoja mowa. Co to za dialekt?

- Caroline pochodzi ze Skagen, dziadku - wtrącił pośpiesznie Berend, wiedząc doskonale, że staruszek nigdy tam nie był.

- Tak? To ciekawe! Ten dialekt przypomina mi język, jakim posługuje się biedota w okolicach Kopenhagi. A co cię interesuje, Caroline? Czy tylko stroje i robótki, a może też żegluga i handel?

- Niestety, nigdy się z tym nie zetknęłam. Natomiast bardzo lubię czytać.

Berend podskoczył. Przecież Caroline nie potrafi czytać!

- Tak? Ciekawe - stwierdził dziadek, który pytał i drażył stanowczo nazbyt dociekliwie. Berend musi go powstrzymać.

- A co czytasz? - spytał dziadek.

Line odpowiedziała ufnie:

- Akurat teraz studiuję „Poradnik dla chłopów”, niezwykle pożyteczna lektura! A poza tym czytam Dantego.

- Dantego? Nieźle. Czy to nie ten, co napisał „Boską komedię”?

- Tak, ten sam. Przyznać jednak muszę, że niewiele z tego wynoszę.

- No, to zrozumiałe - roześmiał się staruszek.

- Chodzi o to, że nie zgadzam się z Dantem. Uważam, że Bóg Ojciec jest miłosierny.

A ta książka to przecież dzieło człowieka, nieprawda? Nie wierzę, że Bóg może być tak bezwzględny i straszny, że skazuje ludzi na wieczne potępienie i męczarnie.

- Owszem, jeśli ktoś był naprawdę niedobrym człowiekiem, to... - wymamrotał stary pan Grim.

- Do gruntu złym, no tak, ale ilu jest takich? Biedny człowiek przecież stara się być dobry, ale nie zawsze mu się to udaje. Często, by kogoś nie zranić, bywa zmuszony do kłamstwa albo do oszustwa. I co, ciach mach, i już ma być potępiony?

Stary Grim spojrzał na nią zamyślony.

- A więc twoim zdaniem Bóg dostrzega i pojmuje więcej, niż chciałby tego Dante czy duchowieństwo?

- Na pewno tak! Gdyby człowiek myślał jedynie o tym, żeby nie zgrzeszyć, to chyba by zwariował. - Kiedy się podniecała, zapominała o starannym doborze słów.

Berend chciał jej przerwać.

- Myślę, że nie będziemy dziadkowi już dłużej zakłócać spokoju... - powiedział.

Staruszek machnął ręką, wskazując drzwi:

- Idź, chłopcze, idź. Ja sobie jeszcze trochę pogawędzę z Caroline. Ona ma taki ożywczy pogląd na życie wieczne. Znacznie bardziej budujący niż ten, jaki przedstawił mi wczoraj pastor. Tak mnie wystraszył, że nie mogłem spać w nocy. Caroline, opowiedz mi jeszcze trochę o twoim wyrozumiałym Bogu!

Berendowi nie pozostało nic innego jak tylko wyjść do salonu. Stał na środku, okropnie zdenerwowany. Drżał na całym ciele na myśl, że Caroline się zdradzi.

A właściwie, co z tego? wpadło mu nagle do głowy. Czy ta dziewczyna ma się czego wstydzić? To raczej on powinien odczuwać konsternację.

Berend był z siebie niezadowolony bardziej niż kiedykolwiek. Co za okropny dzień!

Po jakimś czasie Line wyszła z pokoju starca, trochę speszona, z błyszczącymi oczyma, a do dziadka wszedł Berend.

- Kochana dziewczyna, Berendzie - rzekł staruszek wzruszony i chwycił wnuka za rękę. - Na początku sądziłem, że jest zbyt młoda i niedojrzała. Ale co to za intelekt, jaki zdrowy rozsądek, jakie serce! Lepszej nie mógłbyś sobie znaleźć, mój chłopcze. A przy tym wykazuje duże zrozumienie dla tych, którzy żyją w ubóstwie...

O, tak, pomyślał Berend z goryczą.

- A jej miłość do ciebie jest wzruszająca. Staraj się być jej godny. Odnalazłeś prawdziwą perłę. A propos, czy Caroline może liczyć na jakiś posag?

- Muszę wyznać, że na niewielki.

- Tak też myślałem. Należy raczej do takich, którzy oddadzą ostatni grosz. Za to ty dostaniesz tyle, że starczy na was dwoje. Cieszę się, że nie jest szlachcianką! Oni uważają kupców za coś gorszego i patrzą na nas z góry.

Berend pomyślał od razu o Virginii, choć nie w pełni uświadomił sobie, jak bardzo słowa dziadka pokrywają się z rzeczywistością. Ponownie wypełniło go niejasne uczucie niezadowolenia.

Rozmawiali potem trochę o handlu i żegludze, i o ich potężnym przedsiębiorstwie. Ale wkrótce Berend spostrzegł, że wizyta nadszarpnęła siły staruszka. Twarz wsparta na poduszkach poszarzała, a mowa stała się bełkotliwa.

Berend pożegnał się i wezwał kobietę, która pielęgnowała dziadka

W chwilę później wracali do Kopenhagi. Line i on. Przyjemnie było siedzieć tuż za nią na końskim grzbiecie. Nie musieli się już trzymać kurczowo jak przedtem z powodu galopu. Nie obijał się o sterczące kości dziewczyny, bo nabrała znacznie pełniejszych kształtów. Oczywiście jeszcze wiele jej brakuje, by osiągnąć figurę Virginii, ale kto wie...

A niech to! Znów ogarnęło go przygnębienie!

Caroline milczała przez całą drogę.

- Teraz, gdy już bracia von Flanck wiedzą o tym, że żyję, dalsze ukrywanie się pozbawione jest sensu - rzekł Berend. - Zresztą i tak czułem się jak tchórz. To upokarzające, chociaż z powodu ran nie byłem w stanie uczynić nic pożytecznego. Ale teraz już jestem całkiem zdrow.

- Nie będę cię pytać, gdzie zamierzasz się zatrzymać.

- To żadna tajemnica, w domu. Jedną część zajmuje moja matka, a druga, oddzielona, należy do mnie. Teraz jestem dość silny, by podjąć walkę z braćmi von Flanck i ich sprzymierzeńcami.

Znów stanął mu przed oczami obraz młodego, podchmielonego mężczyzny, którego widział razem ze swoimi wrogami.

- Najpierw odwiozę cię do domu, Caroline, a potem zajmę się swoimi sprawami. Nadal strzegę królewskiego listu. Niebezpieczeństwo minie dopiero wtedy, gdy zjawi się król Christian IV, a to może nastąpić lada dzień.

- No, oni pewnie nie zrezygnują tak łatwo z Flanckshof.

- Masz rację, Line. Pani Lidia z pewnością napotka przeszkody, jeśli będzie chciała tam zamieszkać.

- Ale czy na Jutlandii nie toczy się teraz wojna?

- Tak, choć dokładnie nie wiadomo, co się tam dzieje. Ponoć oddziały Wallensteina podbiły już cały półwysep. To bolesna tragedia. Ale naszym zadaniem jest teraz pomóc pani Lidii. Nie ma sensu martwić się na zapas.

Powiedział: „naszym zadaniem”! Line ogarnęło błogie ciepło.

- Och, jak ja marzę o tym, by pojechać do domu. Tak chciałabym zobaczyć, jak radzą sobie moi najbliżsi! - westchnęła nieśmiało. - Jak im się wiedzie z beczkami i w ogóle.

- To się da zrobić - odparł Berend. - Dlaczego nie mielibyśmy pojechać dookoła, skoro i tak jesteśmy w drodze? - Konno to wcale nie jest tak daleko. Z tego co wiem, idzie im wyśmienicie - Berend uśmiechnął się tajemniczo.

Line odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

Ale nic więcej już nie powiedział.

Poczuła lekki niepokój, widząc jego twarz tak blisko swojej. Ciemne oczy kryły taką głębię. Prawdziwie męskie rysy twarzy. Jego ręka obejmująca jej talię...

To niesprawiedliwe, że takie cudowne uczucie może sprawić tak wiele bólu. Line nie miała bowiem złudzeń. Wiedziała, że w świecie Berenda, w którym tak wielką wagę przywiązuje się do bogactwa i wysokiego urodzenia, nie ma miejsca dla Łachmaniary z najnędzniejszej chaty na całej Zelandii.

ROZDZIAŁ VII

W małej chacie na przedmieściach Kopenhagi czekała Line wielka niespodzianka. Już z daleka dostrzegła, że droga jest zagrabiona, ogródek wypielony, wzdłuż domu rosną kwiatki.

A w środku...

Czysto i porządkie. Na stole chleb i masło. Dzieci wyglądały zdrowiej, miały na sobie lepszy przyodziewek.

Ale najbardziej odmieniona była Lone. Właśnie piekła chleb, a jej zazwyczaj zmęczona i zatroskana twarz promieniała. Policzki pokrywał rumieniec, a oczy lśniły jak gwiazdy.

- Line! - krzyknęła uradowana. - A to, jak rozumiem, pan Berend. Witam i bardzo dziękuję.

Lone długo trzymała go za rękę, a Line patrzyła na nich, nic nie rozumiejąc.

- Zdaje się, że spodziewacie się wizyty - odezwał się Berend.

- Tak - odrzekła Lone przejęta. - Jutro przyjedzie po kilka beczek. Chłopcy świetnie się spisali, ale też mieli dobrego nauczyciela! Popatrzcie!

Z dumą pokazywała im cztery beczki. Młodszych braci, którzy stali obok, również rozsadzała duma. Line wreszcie zrozumiała i rozpromieniła się. Berend przecież wspominał, że bednarz, który pomaga rodzeństwu, jest młodym mężczyzną.

- Tak - odrzekł Berend - spotkałem go w waszym warsztacie w Kopenhadze. Pracował z nie mniejszym zapałem.

Roześmieli się. Lone ucałowała siostrę i szepnęła jej po cichu: „Przepraszam”. Goście nie mogli zatrzymać się na dłużej, bo zbliżał się wieczór.

Line spadł kamień z serca. Dosiadała konia już spokojna, a gdy Berend usadowił się tuż za nią, poczuła się całkiem bezpiecznie. Pokiwali na pożegnanie rodzeństwu, które ustawiło się długim rzędkiem przed drzwiami.

- Cóż znaczy miłość! - roześmiał się dobrotliwie Berend. - Pokona wszelkie przeszkody!

Virginia weszła do gospody. Siedzący w środku czterej mężczyźni miny mieli nietęgą. Nie można się było oprzeć wrażeniu, że nad stołem zawisła gradowa chmura.

Gustav nawet nie chciał z nią rozmawiać. Torben również się nie odzywał. Brat

oznajmił jej niewesołą nowinę:

- Uciekli!

- Razem? - zareagowała ostro.

- Tak, a jak myślisz? Nie mieliśmy pojęcia, że koń Berenda, wyprzęgnięty, pasie się w pobliżu.

Zapadło milczenie. Po chwili Virginia rzekła zamyślona:

- Czy rzeczywiście zamierzał mnie porwać?

Ta uwaga zrazu nie wzbudziła zainteresowania. Dopiero po chwili do Gustava dotarł sens jej słów.

- Powiedziałaś „Porwać”? Czy ten Berend Grim nie jest czasem w tobie trochę zakochany?

- Trochę? - powtórzyła Virginia, uśmiechając się ironicznie. - Gotów jest leżeć przede mną plackiem! Przypuszczam, że zamierzał mi się dzisiaj oświadczyć, ale z waszego powodu nie odważył się przyjść do domu ciotki Lidii.

- O, to dosyć ciekawe. Torben, co ty na to, byśmy razem, ty i ja, „porwali” tę młodą damę? Wysłalibyśmy wiadomość do Berenda Grima: „Oddaj nam królewski list, bo inaczej nie ujrzysz więcej swej ukochanej wśród żywych!”

Virginia zadrżała.

- Nie, nie zabijemy cię oczywiście - powiedział Gustav, jednak takim tonem, który wcale jej nie uspokoił. - Potrzymamy cię trochę u nas, póki nie odzyskamy królewskiego listu.

Być pod ich nadzorem? Strach pomieszany z radością wywołał w niej dreszcze. Ale ponieważ należała do osób małostkowych, acz skrupulatnych, rzekła:

- Dziś nie da rady, bo ciotka Lidia i tak kręci nosem, że tak często wychodzę z domu. Ale jutro zamierzam spotkać się z Berendem przy wodopoju. Obiecałam mu to i ciotka o tym wie. Wtedy mogę zniknąć.

- Hmm - zastanawiał się Gustav. - Właściwie nie ma żadnego znaczenia, czy Berend zjawi się na umówionym miejscu. Nam też odpowiada, by poczekać do jutra. Zdążymy sprawdzić, czy mieszka w swoim domu. Musimy wiedzieć, dokąd wysłać umyślnego.

I spojrzął na Virginię tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, aż ją przeszły ciarki.

- A więc powiadasz, że młody Grim szaleje za tobą?

- Mało powiedziane - Virginia uśmiechnęła się zalotnie, ale nie da się ukryć, odrobinę przestraszona. Uświadomiła sobie nagle, że Gustav von Flanck nie jest kawalerem, który pozwoli wodzić się za nos.

Ach, tak, myślał Gustav. Berend jest nią zainteresowany... Cóż, dziewczyna jest słodka, nawet bardzo, śliczna jak obrazek, może tylko nazbyt chętna. Nie stanowi żadnego wyzwania, nie trzeba zastawiać na nią sideł. No, ale jeśli okazja, by utrzyć nosa temu Berendowi, sama pcha się w ręce, to czemu nie? Można się poświęcić. Odda mu ukochaną, ale zhańbioną.

O, tak, to będzie słodka zemsta. Przecież gdyby nie Berend, odebranie listu starej Lidii stanowiłoby dziecinną igraszkę.

- Panno Virginio - powiedział uprzejmie Gustav. - Czy mógłbym zamienić z panią kilka słów na osobności?

Torben mrugnął rozbawiony, bo domyślił się od razu, o co chodzi. Otto, brat Virginii, patrzył na nich mętym wzrokiem. Wlał w siebie takie ilości trunków, że zdążył się już upić. Virginia poderwała się uszczęśliwiona.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała słodka jak miód. - Ale, niestety, mam mało czasu. Nazbyt długo jestem już poza domem.

- To tylko chwila - obiecał Gustav, uśmiechając się chytrze.

Podeksytowana udała się z nim na górę do pokoju. Teraz powinny ją zobaczyć inne damy dworu. Gustav von Flanck chce rozmawiać z nią na osobności!

Ledwie zamknął za sobą drzwi, odpiął pas, spokojnie i obojętnie. Virginia wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

- Rozbieraj się ! - rzucił oschle.

Virginia wyprężyła się jak struna i odrzekła:

- Jestem uczciwą kobietą, mój panie.

- Wszystkie tak mówią. Nie mam czasu na fanaberie, rozbieraj się! Przecież przez cały czas tylko o to ci chodziło!

- Nie jestem taka jak inne tak zwane damy, z którymi zadajesz się na dworze - rzekła dumnie i odwróciła się do niego plecami.

- A niech to! Znów mam przerabiać od nowa tę lekcję! - wymamrotał Gustav, a Virginia udała, że nie słyszy.

Przybrał więc ponownie minę zakochanego i rzekł czule:

- Przecież wiesz, że poza tobą nikt dla mnie nie istnieje. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś taka jak inne.

Objął ją i pocałował. Virginia stopniała w jego ramionach. Teraz jest mój, pomyślała tylko.

Przy wodopoju Berend zaprzągnął konia i ostatni krótki odcinek drogi do miasta przejechali wozem. Line nie kryła, że teraz jechało się znacznie wygodniej. Wcześniej na pewnej intymnej części ciała z pewnością nabawiła się niejednego siniaka.

Koń chyba także z przyjemnością pozbył się ciężaru z grzbietu.

Gdy cało i zdrowo dotarli do domu, Line wycofała się do swego pokoju, a Berend udał się na rozmowę do pani Lidii.

Virginia właśnie wróciła. Ledwie ją poznał. Czyżby płakała? Virginia? Zawsze taka spokojna i opanowana, taka zadowolona z siebie. Jest bardzo blada, ale trzyma się prosto, a jej spojrzenie wyraża nieskrywaną dumę, ba, prawdziwy triumf!

Co tu się stało? Pani Lidia jest taka jak zwykle, więc nie ją należy pytać. Zdaje się, że to raczej jakieś prywatne sprawy panny Virginii.

Kiedy wychodził, dziewczyna zatrzymała go i czule położyła mu dłoń na ramieniu. I to było do niej niepodobne.

- Berend, kochanie - rzekła. - Tak mi przykro, że nie mogłam dziś przyjść.

- Mimo to wszystko ułożyło się pomyślnie - odpowiedział i sam się zdziwił, że nie zdobył się na cieplejszy ton.

Czy to dlatego, że czuł się trochę rozkojarzony? Stali w drzwiach wychodzących na podwórze, gdzie Line na kłęczkach karmiła kury. Wokół niej zgromadziło się ptactwo, jedną ręką obejmowała tulącego się do niej psa, z drugiego boku łąsił się kot, niedaleko dreptało prosię... Berend słyszał jej cichy i łagodny głos. Było w nim tyle ciepła i miłości, że poczuł, jak ze wzruszenia ściska go w gardle.

Virginia powiodła za nim spojrzeniem i roześmiała się:

- Tak, to dla niej odpowiednie miejsce. Line - świniara!

Bo Virginia była przewrażliwiona na punkcie Line. I choć sama uważała, że to śmieszne, nic na to nie mogła poradzić. Służąca tak właśnie na nią działała.

Berend odwrócił się z wolna i spojrzał na Virginie. Piękne błękitne oczy zdawały się obiecywać to i owo, bo urodziwa panna postanowiła oczarować Berenda tak, by następnego dnia, porażony wiadomością o jej porwaniu, bez wahania oddał królewski list.

Berend naturalnie nawet się nie domyślał jej wyrachowania, ale i tak ujrzał nagle przed sobą jakąś zupełnie obcą, nic dla niego nie znaczącą kobietę. Pusta, choć efektowna skorupa, pomyślał. Gdyby ją rozbić, nie znalazłoby się w środku niczego. Dziewczyna rzuciła mu na pożegnanie: „Do jutra, na tym samym miejscu”, ale on jakby nie uchwycił sensu tych słów.

Wzbierała w nim wściekłość na samego siebie, że tracił czas na tę pannę, pustą jak

bańka mydlana. Posłał jej chłodny uśmiech i pożegnał się. Pośpiesznie przeszedł przez podwórze, nie spojrzawszy w ogóle na Line.

Virginia obserwowała go obojętnie. Zmiękł całkowicie. Żeby ją odzyskać, na pewno dostarczy królewski list Gustawowi, jej Gustawowi! A wtedy ona zasłuży na pochwałę.

Należy teraz do Gustava! Nareszcie!

Choć, prawdę powiedziawszy, odczuwała lekkie rozczarowanie. Taka oziębłość? Ale to się na pewno zmieni, gdy tylko się pobiorą. Rozmarzona wróciła do domu. Przeszła przez pomieszczenia pogrążone w półmroku zbliżającego się wieczoru. Jakie te pokoje są małe w porównaniu z salonami we Flanckshof, pomyślała z pogardą, bo już czuła się panią tej wspaniałej rezydencji.

Do rzeczywistości przywołał ją głos pani Lidii.

- Virginio, rzadko bywasz w domu. Czy to konieczne, byś tak często odwiedzała swego brata? Obawiam się, że może mieć na ciebie zły wpływ.

Virginia pogrążona w nierealnych marzeniach odpowiedziała jej zniecierpliwiona:

- Już wkrótce się stąd wyprowadzę, więc nie będziesz miała więcej ze mną kłopotów, ciociu.

Mały Ulrik spojrział zdziwiony znad książki. Czy to ta sama pokorna i cicha Virginia?

- Ach, tak? - zdumiała się Lidia.

- Wychodzę za mąż. Za Gustava von Flancka.

- Ależ moja droga - zląkała się ciotka. - Czy chcesz się unieszczęśliwić?

- Nie, on mnie przecież kocha, tylko mnie! Zamieszkamy we Flanckshof.

Lidia popatrzyła na nią badawczo.

- Czy Gustav zaproponował ci małżeństwo?

- T-tak - zająknęła się Virginia trochę niepewna, ale wciąż nie traciła rezonu.

- Czy Gustav ci się naprawdę oświadczył?

- No, nie wprost.

- A więc zostaniesz panią we dworze Flanckshof. No, no! Życzę ci wszystkiego najlepszego. Jestem przekonana, że dojdziemy do porozumienia.

Virginia zacisnęła dłonie na oparciu krzesła.

- Nie ma mowy o jakimkolwiek porozumieniu. Kiedy wprowadzimy się do Flanckshof razem z Gustavem, nie będziemy rozdawać jałmużny jakimś dalekim krewnym. Zamierzamy prowadzić życie towarzyskie na szeroka skalę. Nie będzie więc dla was miejsca. Tutaj jest wam dobrze, Ulrikowi i tobie, ciociu.

Ulrik zerknął wyczekująco na babcię.

- Zapominasz o królewskim liście - rzekła cicho Lidia.

- Stracił ważność - zasyczała Virginia w odpowiedzi. - Dwór należy do Gustava. To on nosi nazwisko von Flanck, nie Ulrik.

- A co zamierzasz zrobić z Torbenem?

Tak, Torben stanowił poważny problem.

- Znajdzie sobie inne miejsce, gdzie mógłby zamieszkać.

- Myślę, że nie możesz go przedstawiać jak jakiś stary mebel. Nawet Gustav ci na to nie zezwoli. Strzeż się nienawiści Torbena, Virginio!

- Nie zamierzam o tym dyskutować! - Virginia poderwała się raptownie i wyszła.

Lidia i Ulrik spojrzeli po sobie.

- Biedna Virginia - rzekła Lidia, a Ulrik przytaknął, bo był to mądry chłopiec.

Następnego dnia Berend nie ruszał się z domu. Zamierzał nadrobić zaległości w księgach rachunkowych. Do pokoju weszła matka.

- Przybył jakiś posłaniec, Berendzie. Chce koniecznie z tobą rozmawiać.

Udał się więc do hallu, gdzie czekał przestraszony chłopiec.

- Pewien szlachcic prosił, bym przekazał ci, panie, ten list. Uprzedził też, że mam poczekać na odwrotną pocztę.

- Dziękuję - rzekł Berend i rozwinął papier. List zawierał zaledwie kilka słów: Mamy pannę Virginię Stake. Jeśli chcesz ją jeszcze kiedyś zobaczyć, oddaj posłańcowi królewski list.

Bez trudu domyślił się, kto jest nadawcą. Spojrzał zamyślony na chłopca.

- Zaczekaj tu - powiedział - Zaraz dostaniesz odpowiedź.

Usiadł przy biurku w swym pokoju i pogrążył się w zadumie. Usiłował przywołać w pamięci obraz Virgini, ale bezskutecznie. Ciągle miał przed oczami dziewczynę na klęczkach, otoczoną zwierzętami.

Pomyślał o Lidii Stake, uroczej starszej pani, i jej wnuku, którzy mogliby utracić swój dom, Flanckshof, na rzecz dwóch bezlitosnych drani. Przypomniał też sobie młodego mężczyznę, którego widział przy wodopoju razem z braćmi von Flanck. Czyż nie był to brat Virgini? Tak, to na pewno on, Berend nie miał już co do tego najmniejszych wątpliwości. Skąd wiedzieli, że tam będzie czekał? Kto im powiedział? Na pewno nie Caroline, bo to przecież ona zauważyła napastników i ostrzegła go, dzięki czemu udało mu się zbiec.

Jeśli Virginia jest wplątana w tę aferę, tak jak mu się wydaje, to nie grozi jej teraz żadne niebezpieczeństwo.

Berend chwycił gęsie pióro, zanurzył je w atramencie i napisał cztery słowa: *Możecie ją sobie zatrzymać.*

Virginia przebywała tymczasem w nowej kwaterze braci von Flanck. Była „zakładnikiem” i jej uwolnienie zależało od Berenda, który miał przekazać królewski list. Gustav i Torben nie odważyli się pozostać w gospodzie, bo tam zbyt rzucali się w oczy. Wynajęli więc kilka pokoi na przedmieściu, w okolicy Vartov, głównie po to, by ukryć Virginię.

Dziewczyna przechadzała się po skromnym pokoju w tę i z powrotem. Czuła, jak ogarnia ją bezradność i irytacja. Drzwi zamknięte na klucz! Tak jakby nie mieli do niej zaufania! Gustav wcale nie okazywał jej należnego szacunku. Kiedy chciała się do niego przytulić, wykręcił się jakąś głupią wymówką. Ale może czuł się trochę skrępowany obecnością brata. Z pewnością marzył o tym, by Torben poszedł sobie gdzie pieprz rośnie, aby mógł zostać z nią sam na sam. To oczywiste!

Siedzi tu już kilka godzin. Ciotka Lidia na pewno się o nią niepokoi. Dobrze jej tak! Jak mogła powiedzieć, że Virginia unieszczęśliwi się przez związek z Gustavem!

Ale jedna myśl mąciła jej spokój. Straciła dziewictwo. E tam! Ciekawe, ile jest cnotliwych panien na dworze wśród tych, które uchodzą za niewinne. A ona przecież zdobyła Gustava von Flancka.

Poza tym wyklął jej się w głowie pewien pomysł: W najgorszym wypadku, jeśli Gustav zginie w walce lub stanie się coś podobnego, ma przecież w odwodzie Berenda Grima.

Usłyszała czyjeś kroki, szybko przejrzała się w niewielkim lusterku. Tak, jest piękna! Zawsze podziwiano jej urodę, była jak róża, czarująca i subtelna. Szkoda, że nie mogą podziwiać jej kawalerowie na całym świecie. Na pewno zawojowałaby ich wszystkich.

Drzwi otworzyły się. Virginia przywołała na powitanie ciepły uśmiech, odwróciła się i zastygła.

To nie Gustav! To był Torben, ten odrażający typ!

Torben von Flanck w niczym nie przypominał swego przystojnego brata. Był niższy, krępy. Miał ciemne, wiszące w strąkach włosy, zrosnięte brwi nad spoglądającymi chłodno oczami, podbródek szeroki, niekształtny i brzydki. Zapewne nie przeszkadzałoby to nikomu, gdyby nie pogarda wobec ludzi, którą Torben demonstrował wszem i wobec. Wielki wpływ na rozwój psychiczny Torbena miało wczesne dzieciństwo. Chłopiec żył w cieniu

wspaniałego starszego brata, którego szczerze podziwiał. Gustav patrzył na wszystkich z góry - tak go wychowano - a służbę i poddanych traktował gorzej niż zwierzęta. Torben wiele się od niego nauczył. A potem włożył sporo wysiłku w to, by prześcignąć brata w okrucieństwie. Z czasem okrucieństwo przeszło w nawyk i stało się motorem działania.

- Gdzie jest Gustav? - zapytała Virginia lodowatym tonem, pragnąc ukryć strach.

Torben uśmiechał się z wyraźną drwiną.

- Oczekuje odpowiedzi od Berenda Grima. Coś długo to trwa - dodał zgryźliwie.

- Na pewno wkrótce nadejdzie, możesz być tego pewien!

Torben podszedł bliżej i pociągnął ją za włosy, zrazu lekko, potem mocniej. Wstrętny uśmieszek nie schodził mu z ust.

Początkowo Virginia próbowała go zlekceważyć. W końcu jednak poczuła dotkliwy ból i nie była w stanie dłużej udawać, że nic ją to nie obchodzi

- Nie dotykaj mnie! - zaprotestowała ostro.

- No, no, nie wiesz, że wszystkie porzucone kochanki Gustava dostają się w moje ręce, bym mógł się trochę zabawić?

- Nie jestem porzuconą kochanką! Jestem jego przyszłą żoną!

Torben roześmiał się głośno.

- Tak, tak. Słyszałem to już nie raz. Choć jeszcze żadna nie była taka pewna zwycięstwa. Na ogół mówią to przez łzy.

- Ty potworze! Drażnisz się ze mną!

Wzruszył ramionami.

- Sama spytaj Gustava, właśnie nadchodzi.

Virginia odetchnęła.

- Na pewno wrócił posłaniec. Tak, wiedziałam, że Berend bardzo się przestraszy, biedaczek!

Wszedł Gustav. Jego męskość wprost porażała Virginię. W dłoni trzymał zwinięty w rulon list.

- No, bracie! - zawołał. - Flanckshof jest nasze.

Nawet nie spojrział w jej stronę. Chyba zasłużyła na to, by choć popatrzeć na nią z wdzięcznością.

Gustav złamał pieczęć i rozwinął list. Dostrzegła, że został napisany na starym grubym papierze. Torben zaglądał bratu przez ramię.

Nagle zapadła cisza tak dojmująca, że można ją było wyczuć dotykiem. Usłyszała, jak Gustav nabiera powietrza do płuc. Torben zaklął cicho, z trudem tłumiąc wściekłość.

Zrozumiała, że coś się stało! Coś bardzo niedobrego. Ale co?

ROZDZIAŁ VIII

Bracia równocześnie odwrócili wzrok ku Virginii. Zrozumiała, co znaczy mieć w nich wrogów. Całe szczęście, że utrzymuję z nimi dobre stosunki, pomyślała.

A jednak omal się nie skuliła, uchwyciwszy spojrzenie Gustava. Jeszcze nigdy nie widziała takich oczu.

Jego spokojny z pozoru głos zwiastował burzę.

- A więc twój adorator nie zwlekał ani chwili, by przyjść ci na ratunek? Przeczytaj to! Zobacz, jakich masz adoratorów!

Virginia spojrzała na list: Możecie ją sobie zatrzymać. Berend Grim.

Podłoga zakołysała się pod nią. Trzymała list w drżących dłoniach, a litery tańczyły jej przed oczami.

- Ja, ja... nie rozumiem. Przecież jest we mnie zakochany do szaleństwa. Wiem o tym na pewno...

- Tak? W takim razie niewykluczone, iż Berend się zorientował, że maczałaś palce w tym, co się stało. Może to twój brat, pijaczyna, puścił farbę?

Co miała robić? Bronić swego brata, czy rzucić go na pożarcie?

- To, to...

- Precz! - rzucił Gustav z trudem tłumiąc gniew. - Nie jesteś już nam potrzebna.

- Ależ, Gustavie! Nie możesz odzywać się do mnie takim tonem. Przecież oddalam ci się. Nie zapominaj o tym. Mamy się pobrać!

- A cóż ty sobie znowu ubzdurałaś! - wycedził powoli Gustav i podszedł bliżej. - Dlaczego, u diabła, miałbym się z tobą żenić? Od ciebie dostałem już wszystko, czego chciałem. Wszystko!

Broda Virginii zadrzała.

- Ale przecież chyba jesteś człowiekiem honoru. Nie zostawisz mnie zhańbionej. Co będzie, jeśli będę miała dziecko?

- Posłuchaj mnie teraz ty śliczna, mała dziwko! Bo jak inaczej nazwać pannę, która tak ochoczo wskakuje mężczyźnie do łóżka?

Torben stał z tyłu i uśmiechał się szyderczo. Virginia najchętniej by go spoliczkowała.

Ale Gustav mówił dalej, depcząc bezlitośnie wszystkie jej złudzenia: że jest bez skazy, czysta i niewinna, wreszcie że nie można jej się oprzeć.

- Nie wiem, ile dzieci spłodziłem za granicą, bo nikt nie rachuje wojennych zdobyczy.

Ale tu, w Danii, mam ich, jak sądzę, sporą gromadkę. Ale dzieci mnie nie interesują!
Zrozumiałaś?

Wybuchnęła płaczem:

- Zniszczyłeś mi życie!

- Trzeba było myśleć o tym wcześniej! - Machnął ręką. - Wyrzuć ją, Torben. Znudziła mi się!

- Nie dotykaj mnie - krzyczała Virginia. - Sama sobie pójdę!

Ale Gustav nagle zmienił zdanie.

- Poczekaj!

Przystanęła.

- Kompan, który był z nami przez cały czas, wspomniał coś, że wywachał, dokąd wczoraj pojechał Berend Grim. Był u swego umierającego dziadka. I zabrał Łachmaniarę. Ta dziewczyna nabiera dla nas wartości. Virginia, możesz się jeszcze do czegoś przydać.

- Ani mi się śni! - wrzasnęła.

Gustav błyskawicznie wyjął nóż i przyłożył jej do gardła. Virginia krzyczała jak opętana.

- Zrobisz to, co ci każę. Bo inaczej napuszczę na ciebie Torbena i naszego kompana, obu naraz - wycedził zimno Gustav. - Masz tu sprowadzić Łachmaniarę! Jak tylko wrócisz do domu, wyślesz ją w jakiejś sprawie. Teraz cenna jest każda chwila. Król Christian zatrzymał się pod Dragor. Tak przynajmniej powiadają. Jeśli nie przejmujemy listu przed przybyciem króla do Kopenhagi, stracimy Flanckshof.

- A co to mnie obchodzi? - szlochała Virginia zdesperowana.

Gustav znów był zmuszony uciec się do podstępu.

- Może jeszcze zmienię zdanie - rzekł łagodnie. - Jeśli pomożesz nam sprowadzić tu Łachmaniarę, to kto wie?

- Co chcesz z nią zrobić?

- To moja sprawa.

Odłożył nóż i popatrzył na nią ciepło, tak jak tylko on potrafi.

Prawie dała się udobruchać, ale jeszcze nie do końca.

- Chyba nie zamierzasz jej uwieść. Po tym, jak byłeś ze mną?

- Co ty sobie w ogóle o mnie myślisz? - uśmiechnął się rozbrajająco. - Powiedziałem ci już, jeśli sprowadzisz ją tutaj, to może zmienię zdanie. Chyba rozumiesz, że Łachmaniara interesuje nas tylko ze względu na królewski list. Nie zamierzaliśmy cię przestraszyć. Ale musiałem wystawić na próbę twą miłość, sprawdzić, czy jesteś z dość szlachetnego gatunku,

który zniesie nawet chłód stali. Muszę przyznać, że wypadłaś nie najgorzej. Myślę, że nadajesz się na panią dworu Flanckshof.

Gustav sięgnął po ten argument, gdyż przychylność Virginii była mu teraz niezbędna. Potrzebował Łachmaniary, nagle dostrzegł jej znaczenie. Nie mógł jednak ryzykować, że Virginia zdradzi ich kryjówkę, dlatego jeszcze przez chwilę postanowił odgrywać rolę czułego kochanka.

Virginia natomiast nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Z trudem rozeznawała się w gwałtownych przemianach, jakie zachodziły w Gustavie. Po prostu nie nadążała za jego nastrojami. Czuła się śmiertelnie obrażona, jednak potrzebowała jego dobrej woli na wypadek, gdyby błąd, jaki popełniła, miał przykre następstwa. Kiedy tylko zostanie panią we Flanckshof, zatroszczy się o to, by pozbyć się Torbena. To zły duch, ma zgubny wpływ na brata.

Ach, jaka była niemądra, wątpiąc w miłość Gustava! Przecież jeszcze żaden mężczyzna nie zdołał się jej oprzeć. Dlaczego więc Gustav miałby być wyjątkiem? A ten głupi list napisała na pewno matka Berenda. To jasne jak słońce!

- Wyślę Łachmiankę do miasta - rzekła łaskawie. - Ale pod warunkiem, że przyrzekniesz mi na swój honor i sumienie, że ożenisz się ze mną. Sam rozumiesz, że spaliłabym się ze wstydu, gdybym miała powiedzieć w domu, że nie wychodzę za mąż, po tym jak oznajmiłam ciotce Lidii, że jestem twoją narzeczoną.

- Co? Powiedziałaś jej to? - spytał groźnie Gustav.

Virginia uznała, że za dużo mówi.

- Nie wprost. Jedyne napomknęłam - próbowała załagodzić. - Czy przysięgasz na swój honor i sumienie, że zostanę twoją żoną i panią Flanckshof?

Ponieważ Gustav nie miał ani honoru, ani sumienia, przysięga bez trudu przeszła mu przez usta.

Uspokojona, choć nadal zraniona w swej - jak to określała - dziewiczej dumie, Virginia opuściła dom nie opodal Vartov.

Nie odczuwała bynajmniej triumfu, choć głowę nosiła wysoko. Nie rozumiała żartów Gustava. Żeby ją nazwać dziwką i wymachiwać jej przed nosem nożem?

Zamyśliła się nad przyszłością, jaka ją czeka we Flanckshof, nawet jeśli pozbędzie się tego złego ducha, Torbena.

Ale co do Łachmaniary, to z przyjemnością wyda ją w ręce braci von Flanck. W jednej chwili Virginia winą za swe wszystkie rozczarowania i niepowodzenia obarczyła biedną służącą.

Paskudna, nic niewarta dziewczka!

Od razu jej ulżyło. Ofuknęła też wstrętnego kalekę, który ciągle wystawał na rogu ulicy.

- Czy porządni ludzie muszą tu być narażeni na widok takiej nędzy? Idź sobie stąd! Możesz żebrnąć gdzie indziej!

- Line! - zawołała, gdy tylko weszła do domu. - Idź natychmiast do pani Jebsen i poproś, by jutro do nas przyszła. Mam suknię do przeróbki!

Line dygnęła i spytała bezradnie:

- Pani Jebsen, krawcowa? Gdzie ona mieszka?

Virginia wyjaśniła zniecierpliwiona. Nie lubiła zwracać się bezpośrednio do Line, tak jakby były sobie równe stanem. Nie znosiła tego naiwnego spojrzenia błękitnych oczu. Fałszywa żmija!

Line skinęła głową.

- Zaraz pójde. Tylko się przebiorę. Nie mogę tak iść - uśmiechnęła się zażenowana, pokazując ubrudzony fartuch.

Virginia wyniośle odwróciła się plecami. Żadnych poufałości! Poczowała lekkie wyrzuty sumienia. Berend pewnie stoi przy wodopoju i czeka na nią. A niech sobie czeka! Bardziej ją doceni! A może będzie jej jeszcze kiedyś potrzebny? Trzeba go trzymać w odwodzie...

Ale Berend wcale nie czekał na nią przy wodopoju. Nie potraktował poważnie jej obietnicy. Siedział nad swoimi papierami i rachunkami, ale nie mógł się skupić. Był całkiem zdezorientowany. Dręczyły go sprzeczne myśli i uczucia. O Virginii uwięzionej przez braci von Flanck nawet nie wspominał. Z pewnością nie działa jej się krzywda.

Berend Grim martwił się czym innym. W głowie miał kompletny chaos. Westchnął niecierpliwie i powrócił do swych papierów.

Line szła ulicą patrząc pod nogi, by w miarę możliwości wymijać śmieci i brudy. Chociaż w tej dzielnicy i tak było czystiej niż w miejscach, do których przywykła.

Raptem usłyszała, że ktoś ją woła:

- Panno Line!

Odwróciła się, poznała ten głos; należał do ciężko okaleczonego żołnierza.

- Słucham? - zapytała i dygnęła. Trochę się zdziwiła, skąd zna jej imię, ale pomyślała, że pewnie Ulrik mu powiedział.

Kaleka mówił z trudem.

- Proszę... - wydobył z siebie. - Proszę, nie idź dalej! To pułapka...

- Pułapka?

- Tak, to groźni przestępcy, biegnij do domu, szybko!

Line skinęła głową. Wierzyła mu. Wiedziała, że nikt z mieszkańców domu pani Lidii nie jest bezpieczny poza jego murami. Podziękowała serdecznie i obróciwszy się na pięcie ruszyła biegiem. W tej samej chwili usłyszała za sobą tupot szybkich kroków, jakieś przekleństwa, krzyk i łomot. Przechodnie zatrzymali się, zdjęci przerażeniem. Line obejrzała się za siebie. Dwaj mężczyźni, pochyleni nad kaleką, bili go kijami. Nie namyślając się ani chwili, Line podążyła biedakowi na ratunek.

- Nie, nie, wracaj do domu! - wołał żebrak.

Ale Line go nie słuchała. Rzuciła się na najbliższego napastnika i zaczęła go okładać pięściami

- Bijecie bezbronnego? - krzyczała. - W życiu nie spotkałam takich tchórzy!

Mężczyźni odwrócili się, a na ich twarzach odmalowało się zadowolenie. Jeden z nich, niezwykle przystojny, chwycił ją za ramię i powiedział:

- Pójdiesz z nami!

Chciała krzyczeć, by ją puścili, ale napastnik zatkał jej ręką usta. Zamotali ją w pelerynę, by ukryć przed ludźmi, ścisnęli mocno i chwycili tak, że nogi zawisły jej kilka centymetrów nad ziemią.

Usłyszała jeszcze jakieś głosy. Nadeszła para starszych ludzi.

- Biedny człowiek! - uzalili się.

Line miała przynajmniej tę pociechę, że kaleka nie zostanie bez pomocy.

Jakiś inny rozgniewany głos wołał:

- Co robicie tej dziewczynie?

- To nasza siostra - odparł przystojniak. - Uciekła z domu i prowadziła się nieprzyzwoicie.

Pociągnęli ją gdzieś w boczne uliczki, z dala od miejsca porwania. Nie była to krótka droga, a Line robiła co mogła, by uprzykrzyć ją napastnikom.

Rozmyślenia przerwał Berendowi kamerdyner, który wszedł z mocno zatroskaną miną.

- Ktoś chce koniecznie z panem rozmawiać. Zapewnia, że nie jest żebrakiem, choć z wyglądu... No, po prostu wygląda nieprzyjemnie.

- Jest okaleczony? Ma kule?

- Zgadza się, proszę pana.

Berend kiwnął głową.

- Idę.

Cóż mógł chcieć od niego ten biedak? Niemało wysiłku kosztowało go, by uśmiechnąć się do żalostnej postaci stojącej w hallu.

- Chyba się już kiedyś spotkaliśmy. Raz w porcie i drugi raz tu w pobliżu?

Kaleka potwierdził skinieniem głowy. Był czymś mocno poruszony, ale z trudem artykułował słowa.

- Zabrali ją, małą Line! Porwali ją dwaj bracia.

Berenda zalała fala strachu i przerażenia.

- Caroline? Czego mogą chcieć od niej? Gdzie ona jest?

- Pewnie przyślą list.

- Na pewno, ale nie mogę na to czekać. Gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia, ale może coś wie ta śliczna panienska?

- Też mi się tak zdaje. Muszę tam natychmiast pędzić... Ale pan krwawi! Jest pan ranny?

Kaleka roześmiał się z goryczą.

Berend także nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Chodziło mi o to, czy teraz coś się panu stało. Proszę poczekać, pojedziemy powozem. Zabierze się pan ze mną i porozmawiamy w drodze!

Powoli, dobitnie aż do przesady, okaleczony mężczyzna wyjąkał:

- Nie odczuwa pan wstrętu na myśl, że będziemy siedzieć obok siebie?

Berendowi przypomniała się rozmowa z Caroline. Nikt nie jest w stanie zrozumieć, jakie męczarnie psychiczne przeżywa taki człowiek.

- Byłbym człowiekiem na wskroś złym, gdybym cierpiał z tego powodu. To nie ja mam powód do cierpienia!

Kaleka nic na to nie odpowiedział, ale kąciki ust drgnęły mu w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

Pośpiesznie wyprowadzono powóz i zaprzęgnięto konia. Berend pomógł biedakowi wsiąść. Zwrócił przy tym uwagę, jak czysto i porządnie jest on odziany.

- Proszę mi opowiedzieć, gdzie pan się nabawił tych najświeższych ran. Czy to nie jest czasem sprawka braci von Flanck?

- Tak, próbowałem pomóc panie Line w ucieczce, dlatego mnie pobili. Ale ona, biedactwo, wróciła mi na ratunek. Wtedy ją złapali.

Dużo czasu potrzebował, by to wszystko opowiedzieć ale Berend słuchał zaciekawiony.

- To charakterystyczne dla Caroline - rzekł ciepło. - Ale czy mógłbym pana o coś zapytać? Wydaje mi się, że musieliśmy się spotkać jeszcze wcześniej. Czy to nie pan pomógł mi wtedy w ciemnościach, kiedy napadło na mnie trzech mężczyzn? Prześladowuje mnie mgliste wspomnienie, że jeden z napastników przewrócił się o gruby kij. Czy to nie była pańska kula?

- Tak, to prawda - powiedział wolno kaleka.

- Skąd pan tak dużo wie o nas?

- Powiedzmy, że interesujecie mnie.

- Albo że żywi pan urazę do braci von Flanck?

- To również.

Berend spojrzawszy ukradkiem na okaleczony profil. Na włosy, które zapewne przedwcześnie posiwiły. Głos też był oczywiście zmieniony. Ale mimo to dostrzegł coś znajomego. Nie, to niemożliwe, to chyba przywidzenie.

Szybko dotarli do domu, w którym mieszkała Lidia Stake. Berend wyjeżdżając zostawił wiadomość, że gdyby pojawił się posłaniec, mają go natychmiast odesłać do pani Lidii. Uważał, że nie ma czasu do stracenia. Inna rzecz, że może bracia von Flanck nadal przetrzymywali Virginie w charakterze zakładnika. Ale ona sobie poradzi, jak zwykle. Ale Caroline..? Uboga dziewczyna nic nie znaczy dla Gustava i Torbena. Może przypadkiem poznała jakąś ich tajemnicę? Jeśli tak, to pewnie jest dla nich niewygodnym świadkiem. Nawet jeśli dostaną królewski list, to i tak będą chcieli się jej pozbyć.

Obawiał się, że może już nigdy więcej nie ujrzeć Caroline. Sprawiało mu to większy ból niż nóż wbity w pierś.

Inwalida za nic nie chciał wejść do środka, ale w końcu Berendowi udało się go przekonać.

Pani Lidia doznała silnego wstrząsu na widok gościa, Ulrik zaś przywitał się z nim jak z dobrym znajomym.

- Gdzie jest Virginia? - spytał krótko Berend. - Będzie musiała wyjaśnić nam to i owo. A może jeszcze nie wróciła?

- Owszem, jest w domu już od dawna - odrzekła pani Lidia zdziwiona. - Ale od razu poszła do swego pokoju, nie pokazując się nikomu na oczy. Miałyśmy wczoraj małą sprzeczkę, dlatego pewnie nie ma ochoty na rozmowę. Za to w kuchni powiedziano mi przed chwilą, że zniknęła Line...

- Właśnie o tym chcemy pomówić - rzekł Berend. - Gustav i Torben wzięli ją jako

zakładnika, żeby odzyskać królewski list.

- Co ty mówisz? Dlaczego właśnie ją?

- Wiedzieli, co robią - odpowiedział Berend rozgoryczony. - Najpierw porwali Virginie, dziś rano przed kilkoma godzinami, ale nie dałem się podejść. Ale teraz... Muszę porozmawiać z Virginią. Ona wie, gdzie jest Caroline.

Lidia wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Nigdy dotąd nie widziała Berenda tak wzburzonego. I to z powodu porwania Line? Królewski list...

To było zbyt wiele jak dla dobrotliwej pani Lidii.

Pozbierała się jednak na tyle, by posłać ochmistrzynię do pokoju Virginii. Oczekując bratanicy swego zmarłego męża, zaprosiła gości do salonu. Odrażający człowiek, którego Berend przyprowadził ze sobą, rozglądał się wokół z wyraźnym wzruszeniem. Odnosiło się wrażenie, że wprost chłonie atmosferę tego cudownego domu. Wydawał się bardziej ożywiony, niż można się było tego spodziewać.

A Ulrik? Jej wnuk rozmawiał ze zwykłą sobie swobodą, wypytywał kalekę o wojnę, która - co było nazbyt widoczne - tak okrutnie się z nim obeszła. W ogóle zachowywał się wspaniale i Lidia mimo woli odczuła z tego powodu prawdziwą dumę, bo sama była skrepowana i nie wiedziała ani co powiedzieć, ani co uczynić.

Weszła służąca i zameldowała, że panny Virginii nie ma w pokoju i że najprawdopodobniej wyszła.

Berend zacisnął pięści.

- Co robić? Sądzicie, że mogła pójść znów do Gustava i Torbena?

- Wątpię - odezwała się Lidia. - Jeszcze jej nigdy nie widziałam takiej skwaszonej jak wczoraj, kiedy od nich wróciła.

Virginia naburmuszona? Ależ przecież była taka nie raz! Ba, dość często. Berendowi nagle spadła zasłona z oczu.

Caroline miała rację, nazywając go głupcem! W jej oczach musiał uchodzić za kompletnego idiotę!

Osobliwy towarzysz Berenda rzekł z trudem:

- Myślę, że wiem, gdzie może być Virginia. Często odwiedza swojego brata, który zazwyczaj przesiaduje w knajpie i raczy się winem.

- Pokaż mi, gdzie to jest!

- Nie, lepiej będzie, jeśli tu zostaniesz, panie, i poczekaasz na list. Tymczasem ja się rozejrzę. Może ją odnajdę!

Uklonił się pani Lidii, kulę wcisnął pod pachę, nad którą wystawał jedynie kikut ręki, i

pokuśtykał w stronę wyjścia.

Obejrzał się jeszcze raz za siebie i wtedy Berend omal nie doznał szoku. Sposób, w jaki kaleka trzymał głowę, wydał mu się znajomy. Z trudem łapał oddech.

Tamten napotkał jego spojrzenie.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza.

Inwalida wykonał niemy gest, potrząsając głową ostrzegawczo, a potem ruszył dalej do wyjścia.

Pani Lidia popatrzyła oniemiała na Berenda.

- Ależ, mój drogi, masz łzy w oczach! Znasz tego człowieka?

- Tak - wyszeptał Berend. - Teraz go rozpoznałem!

- Kto to był? - spytał jak zwykle ciekawy Ulrik.

Berend długo patrzył na chłopca, jakby rozważając, co ma mu odpowiedzieć. W końcu się zdecydował. Kucnął przed nim i rzekł:

- Ten człowiek, Ulriku, był przez wiele lat moim najlepszym przyjacielem. A teraz jest mi bliższy niż kiedykolwiek, bo nas potrzebuje: ciebie, Ulriku, mnie, twojej babci! Wprawdzie nie życzył sobie, bym wam o tym powiedział, ale uznałem, że jesteście dość silni, by poznać prawdę. Ulriku! To był twój ojciec!

ROZDZIAŁ IX

- Mój ojciec? - Ulrik patrzył osłupiały na Berenda.

- Tak, Ulriku, dopiero teraz go rozpoznałem. Doznałem szoku.

- Ale przecież mój tata był taki ładny i taki przystojny. Był najlepszym tatą pod słońcem!

- Ujrzałeś twarz i ciało zdeformowane przez wojnę. Ale w środku twój tata się nie zmienił! Jest taki sam jak kiedyś.

Chłopiec kiwnął głową. Głos mu zadrżał:

- Line mówiła to samo. Zawsze powinno się widzieć człowieka takim, jaki jest w środku.

- Caroline mówi wiele mądrych rzeczy.

Caroline! Berend znów poczuł, jak strach ściska go za gardło. Zamiast siedzieć tu beczynn timer, powinien jej szukać. Poruszyć niebo i ziemię, żeby ją tylko odnaleźć.

Ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że potrzebny jest mu jakiś trop. Musi czekać! Czekanie... To wprost nie do zniesienia.

Lidia ciężko usiadła.

- Tak, to naprawdę był Ditlef - wyszeptała. - Plecy... Dłoń... Jak mogłam go nie poznać od razu? Mojego zięcia! O Boże! Boże, dlaczego na to pozwoliłaś? Przecież Ditlef był taki dobry i pobożny. Nie zasłużył na taką karę!

Ulrik z irytacją osuszył łzy. Nie chciał pokazać, jak bardzo był wstrząśnięty.

- Dlaczego nigdy do nas nie przyszedł? - zastanawiał się. - Przecież jest w naszym mieście już dość długo.

- Teraz też nie chciał wejść - rzekł Berend. - Musiałem go dosłownie wprowadzić na siłę. Ale chyba nietrudno się domyślić, czemu się tak opierał.

- Och, Berendzie, co my teraz pocniemy? - szlochała żałośnie Lidia.

Odpowiedział jej Ulrik, mały chłopiec:

- Poprosimy, by zamieszkał z nami, oczywiście.

- Ale on przecież jest...

Na to Ulrik uśmiechnął się i wyrzekł słowa, które w pełni potwierdzały, że nie jest zwykłym przemądrzałym dziesięciolatkiem:

- Babciu, on wrócił. Czy to nie najważniejsze?

Ze łzami w oczach Lidia chwyciła za rękę swego wnuka, nie mogąc wydusić z siebie

ani jednego słowa.

- Na początku może zamieszkać u mnie - powiedział cicho Berend. - Aż pani, pani Lidio, nie oswoi się z tym wszystkim.

- Nie - szepnęła Lidia, odzyskawszy panowanie nad głosem. - Nie! Zamieszka tutaj.

Berend położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Masz rację Ulriku. Wielu, bardzo wielu żołnierzy nigdy nie powróci do swych domów. I mnóstwo małych chłopców daremnie czeka na swych ojców.

- Tak - wtrąciła Lidia. - Powinniśmy dziękować Bogu. Wszedł kamerdyner i powiedział, że przy drzwiach czeka znów „ta persona”. Czy ma wprowadzić, czy też...?

- Wprowadź go, proszę! I to z należnym szacunkiem.

Pełne wyrzutu spojrzenie służącego wyrażało więcej niż słowa.

Ojciec Ulrika, niegdyś przystojny kapitan o ogorzalej twarzy, promiennych oczach, gęstych, ciemnych włosach i nienagannej postawie, wszedł do środka. Okaleczony, ułomny, wyglądał teraz nader żałośnie.

- Ty jesteś Ditlef, prawda? - odezwała się cicho Lidia.

Siedziała na sofie, a obok niej Ulrik.

Kaleka spuścił głowę, nie miał odwagi podnieść wzroku.

Ulrik wstał.

- Witamy w domu, tato - powiedział, a głos drżał mu niepokojąco. - Cieszymy się, że wróciłeś! - I uścisnął jedyną dłoń ojca.

Ditlef zacisnął usta. Ze wzruszenia nie mógł mówić.

- Siadaj, Ditlef - rzekł Berend, którego rozsadzała niecierpliwość. - Siadaj i opowiadaj wszystko, co ci się przydarzyło. Ale najpierw pozwól, że będę niesubtelny i zapytam, czego się dowiedziałeś.

Ditlef sięgnął po chustkę i otarł nos. Potem zaczął mówić, ale niełatwo go było zrozumieć.

- Nie, Virginii tam nie ma - wyjąkał. - Byłem w gospodzie, gdzie zwykle przesiaduje jej brat. Dowiedziałem się jednak, że wczoraj wieczorem Otto popadł w delirium...

- Nic dziwnego, on tyle pił - rzekła Lidia. Serce nie przestawało jej krwawić, gdy patrzyła na kalekę, który niegdyś był wspaniałym mężem jej córki.

- Miał zaburzenia świadomości i majaczył ciągle o jakiejś „Tildzie”, którą posłał w powietrze.

Berend podskoczył.

- Frachtowiec „Tilda”, czy to on...? Oczywiście, ten drań miał zawsze smykałkę do

techniki. Poza tym służył w artylerii, nim nie wykpił się od wojny.

Berend pograżył się w zadumie, a gdy udało mu się połączyć w całość wszystkie części tej układanki, ciarki przeszły mu po plecach.

W końcu powiedział:

- To i tak nie pomoże nam odnaleźć Caroline. A czas nagli!

Znów wszedł kamerdyner i oznajmił, że jakiś posłaniec pyta o Berenda Grima.

- No i nadszedł list z pogroźkami - rzekł Berend i szybko wstał.

Służący go powstrzymał.

- Powiadają, że Jego Wysokość król Christian IV jest w drodze do Kopenhagi.

Berend pomyślał chwilę i spojrzał na Lidię, która siedziała zagryzając wargi. Podjął decyzję:

- Moglibyśmy poczekać na króla, żeby potwierdził własnym podpisem list swego ojca, akt własności Flanckshof. Ale to nie pomoże Caroline. Wręcz przeciwnie. Jeśli bracia dowiedzą się, że Flanckshof jest dla nich na zawsze stracone, to bez skrupułów pozbędą się zakładnika.

- Niestety, obawiam się, że to prawda - przyznała Lidia. - Na tyle znam moich bratanków. Nie mamy prawa ryzykować życia naszej służącej dla zyskania ziemskich dóbr.

- Nie mamy prawa - powtórzył Berend z naciskiem i pośpieszył do hallu.

Wrócił po chwili z posłańcem, tym samym chłopcem, który był u niego rano. Złapał go za kark.

- Teraz nam powiesz, kto ci dał te dwa listy!

Chłopiec szarpał się przerażony.

- Nie mogę powiedzieć, panie. Zresztą nie wiem.

- Może to i prawda. Pewnie nie masz z nimi nic wspólnego. Wyglądasz na porządnego chłopca. Skąd jesteś?

- Ja?

- Tak, ty - spytał Berend przyjaźnie. - Gdzie mieszkasz?

Chłopiec wpadł w sidła zastawione przez Berenda. Opowiedział naiwnie, z detalami, gdzie jest usytuowany jego dom, jak wygląda.

Dostał za to talara od Berenda, który dalej pytał obojętnie:

- Co robi twój ojciec?

- Zginął na wojnie, panie - odpowiedział chłopak, wpatrując się jak urzeczony w

monetę. - Ale mama wynajmuje pokoje, więc jakoś sobie radzimy. Ja jej oczywiście pomagam.

Właśnie tego chciał się dowiedzieć. Tym sposobem zdobył nowy adres braci von Flanck, bo chłopiec był bez wątpienia synem właścicielki domu, w którym bracia wynajęli pokoje.

- Dziękuję ci, zaraz dostaniesz list.

- Chciałbym tylko powiedzieć, że tym razem muszę przynieść właściwy list, bo inaczej dostanę baty.

- Tego powinniśmy raczej uniknąć. Dostaniesz właściwy list. Ale muszę podjechać wpierw do domu i go przynieść. Poczekasz tu na mnie?

Chłopiec zamrugał nerwowo powiekami i pomyślał pewnie o surowych lokatorach, którzy go postraszyli tym i owym.

Ale Lidia, która była dość bystra i przejrzała plan Berenda, powiedziała szybko:

- Tak, poczekaj tu. Pójdiesz ze mną do kuchni, tam z pewnością znajdzie się dla ciebie coś do jedzenia.

Chłopiec uchylił czapki, rzucił nieśmiało spojrzenie na odrażającego mężczyznę siedzącego na sofie i poszedł za Lidią do kuchni

Berend przeprosił Ditlefa, że musi teraz wyjść, choć tak bardzo jest ciekaw losów przyjaciela, ale ten tylko machał ręką. Pojmował, że nie ma czasu do stracenia.

W chwilę później Berend był już na ulicy i gnał jak szalony w kierunku Vartov, dzielnicy, w której mieszkał posłaniec.

Zmierzchało. Właśnie zamykano kramy. Berend kluczył pomiędzy handlarzami, którzy dźwigali swoje towary, w pośpiechu wymijał zwierzęta żerujące na odpadkach po targu.

Przepełniony strachem, niecierpliwie spieszył naprzód, obmyślając strategię.

Liczył się z tym, że dom, w którym zatrzymali się bracia, może być niedostępny jak twierdza. W tej dzielnicy budynki miały rzadko kiedy więcej niż jedno wyjście, a tego bracia z pewnością dobrze strzegli. Okna były zbyt małe, by się przez nie przecisnąć, o ile w ogóle dałyby się otworzyć. Musi wszystko dokładnie zaplanować.

Ciążyła na nim odpowiedzialność nie tylko za Caroline, ale i za chłopca-posłańca. Jeśli Berendowi się nie powiedzie, to Gustav i Torben zemszczą się na dzieciaku za to, że zdradził ich kryjówkę.

Caroline! Ta drobna, zziębnięta, wygłodzona dziewczyna owinięta w łachmany, którą spotkał tamtego wieczoru, a która od początku wzbudziła w nim tyle sympatii. Uboga mała

istota - ale zrozumienia i miłości dla bliźnich miała w sobie więcej niż niejeden bogacz, uczony czy nawet duchowny.

Caroline. Uświadomił sobie, że z każdym dniem staje się mu coraz droższa. Ale teraz nie czas o tym myśleć. Najpierw musi ją wyrwać z łap tych dwóch bezlitosnych bandytów.

Nigdy jeszcze żadne zadanie nie wydawało mu się równie ważne. Musi odnaleźć swoją Caroline!

Swoją? Nie, nie powinien tak myśleć! Zbyt wielka przepaść dzieli ich światy. Caroline byłaby narażona na zbyt wiele upokorzeń w jego środowisku. Zna dobrze ludzi, którzy przynależeli do jego klasy. Wie, jaką pogardę okazują tym, którzy nie mają odpowiedniego pochodzenia, statusu społecznego, majątku.

Miłosną przygodę raz na jakiś czas akceptowano bez zastrzeżeń. Cóż, wiadomo, że mężczyźni mają prawo trochę się zabawić ze służącymi czy dziewczkami w gospodach. Ale nie taki związek chciałby zaproponować Caroline. Zaslugiwała na coś lepszego!

W domu Lidii, w salonie, Ulrik został z ojcem sam. Babcia nie wróciła jeszcze z kuchni, dokąd zaprowadziła posłańca.

Milczeli przez chwilę, w końcu Ulrik spytał:

- Gdzie mieszkasz, tato?

- O, mam niewielki pokój, ale rzadko tam bywam. Muszę przecież pilnować was wszystkich. A przez tych braci von Flanck mam roboty co niemiara.

- Tak - roześmiał się Ulrik. - To ciężka praca. Ale dlaczego nie przyszedłeś do nas od razu?

- Nie mogłem się na to zdobyć. Z takim wyglądem.

Wróciła Lidia i przysiadła się do nich na sofie, by posłuchać, o czym rozmawiają. Ale najpierw oznajmiła, że wydała w kuchni polecenie, aby przygotowali przyjęcie.

- Na twoją cześć, Ditlefie. Jako dowód naszej radości z twego powrotu.

W duchu obawiała się jednak tego posiłku i wszystkich następnych. Jak ona to zniesie? Czy zdoła cokolwiek przełknąć, patrząc na tę odrażającą twarz?

- Dziękuję - powiedział Ditlef. - Jestem ogromnie wdzięczny za to powitanie, ale mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, bym w przyszłości jadał sam.

Dzięki Bogu, pomyślała Lidia.

- Ależ dlaczego? - ku rozpaczyci babci spytał urażony Ulrik. - Oczywiście, że będziesz jadał z nami, tato!

- Nie, mój chłopcze. Dziękuję ci, ale zdążyłem się już przyzwyczaić, rozumiesz.

Lepiej się czuję sam.

Nim chłopiec zdążył wyrazić kolejne zastrzeżenia, Lidia pospiesznie zmieniła temat:

- Opowiedz nam teraz o sobie, Ditlef.

- Zostałem ranny pod Lutter am Barenberge. Wtedy Berenda już nie było ze mną, bo wcześniej odesłano go do domu.

- Tak, Berend był ciężko ranny w klatkę piersiową, ale udało mu się z tego wyjść. Gotów był wracać na front, kiedy zaczęła się ta cała historia z braćmi von Flanck. Ranili go na nowo, więc teraz dochodzi do siebie.

- Tutaj jest z niego większy pożytek - stwierdził Ditlef.

Lidia przytaknęła.

- A więc zostałeś ranny pod Lutter am Barenberge. Co potem? I dlaczego nikt nas o tym nie zawiadomił?

Ditlef opowiedział o wybuchu armatnim, który rozerwał go na pół. Stracił lewą rękę i nogę, a twarz miał całkiem zmasakrowaną.

- Do dziś nie pojmuję, jak to się stało, że przeżyłem - dodał. - Ile razy żałowałem, że wtedy nie umarłem. Trudno, bardzo trudno było mi potem żyć.

- Ale my jesteśmy szczęśliwi, tato, że ci się to udało - powiedział Ulrik i chwycił dłoń ojca. Lidia wprost nie mogła się nadziwić, że chłopiec tak dojrzałe przyjął tę tragedię. Ona sama nawet w połowie nie była tak silna jak jej wnuk.

- Myśl o tobie, synku, i o twojej babci podtrzymywała mnie na duchu. Kiedy spadały na mnie kopniaki i wyzwiska, pragnąłem tylko jednego: raz jeszcze ujrzeć mojego syna. Potem, myślałem, niech się dzieje co chce.

- Teraz, tato, nic nas już nie rozdzieli.

W odpowiedzi twarz Ditlefa wykrzywiła się w groteskowym uśmiechu.

Usiadł tak, by widzieli jego „lepszą” połowę. Nie chciał narażać ich na więcej przykrości niż to było konieczne.

- Dlaczego nie otrzymaliście żadnej wiadomości, łatwo wyjaśnić. Sam nie mogłem napisać, a nikt inny nie wiedział, kim jest ta kupa mięsa, która leżała w namiocie sanitarnym. Gdy stamtąd wyszedłem, zabrakło mi odwagi, by do was napisać.

Zamyślił się przez chwilę. Ożyły w nim zapewne nie najmiłsze wspomnienia.

- Najpierw pojechałem do Flanckshof - ciągnął swą opowieść. - Ale tam się dowiedziałem, że okoliczności zmusiły was do ucieczki do Kopenhagi. Podążyłem waszym śladem. Żeby przedostać się przez cieśniny, musiałem zastawić fortunę. Inaczej nikt nie wzięłby mnie na pokład. Wolę nie opowiadać o mej długiej wyprawie do Danii. Zbyt wielu

upokorzeń doznałem w drodze.

- Rozumiemy - kiwała głową Lidia.

- Później minęło trochę czasu, nim udało mi się was odszukać. Dom Berenda odnalazłem bez trudu, bo to znana kupiecka rodzina. Pewnie, że myślałem o tym, by się przed nim ujawnić. Berend doświadczył na własnej skórze okrucieństwa wojny. Ale opuściła mnie odwaga. Nie zniósłbym widoku jego twarzy zastygłej z przerażenia. Tak samo z wami. Bałem się. Chciałem tylko zobaczyć Ulrika.

- Rozumiemy - powtórzyła Lidia.

- Ale zorientowałem się, że popadliście w kłopoty. Podśluchałem rozmowę braci von Flanck. Znałem ich, bo to przecież kuzynowie mojej żony. Kiedy zaczęli się, by napaść na Berenda podążającego do portu, byłem w pobliżu. Widziałem, że Berenda uratowała dziewczyna, którą nazywano Łachmaniarą. Następnego dnia zebrałem się na odwagę i pokazałem się jej i Berendowi. Gdy mnie mijali, dziewczyna w ciepłych słowach wyraziła się o takich jak ja. Berend mnie nie poznał. Wtedy nabrałem śmiałości i postanowiłem trzymać się w pobliżu waszego domu. Dlatego kiedyś Line i Ulrik rozmawiali ze mną. Och, Ulriku, jakże byłem z ciebie dumny tego dnia.

Uśmiechnęli się wszyscy troje.

Potem Ditlef dodał zamyślony:

- Rzeczywiście, to niezwykła dziewczyna!

- Mówisz, oczywiście, o naszej służącej? - upewniła się Lidia. - To prawda, jest miła. Może nie tak ładna jak Virginia, ale... Co takiego, Ditlef? Wydawało mi się, że dostrzegłam pogardę na twojej twarzy?

- Nie, nic takiego.

- Tak. Powiedz, czy Line była kiedyś dla ciebie niemiła?

- O, nie Line!

- A więc Virginia?

- Nie chcę wyrażać się źle o nieobecnych, ale dobrze wam radzę, strzeżcie się jej!

- Wiemy! - skinęła głową Lidia. - Nieoczekiwanie zaczęła się bardzo źle odnosić do mnie i do Ulrika. Ale gdzie ona może być? Już od kilku godzin nie ma jej w domu. Zaczynam się niepokoić.

- Pewnie jest u Gustava i Torbena - rzekł Ditlef.

- Tak, biedaczka wyobraża sobie, że Gustav się z nią ożeni. I już awansem wyrzuciła nas z Flanckshof.

- Biedna Virginia - stwierdził Ditlef. - Nigdy nie grzeszyła zbyt dużą mądrością.

Natomiast zawsze puszyła się jak paw.

- My też powiedzieliśmy „biedna Virginia”, tato - z zapałem wołał Ulrik. - Och, tato, jak ja się cieszę, że znów jesteś w domu. Wokół mnie były same kobiety!

Ditlef spojrział z uśmiechem na swego syna.

- Upłynęło wiele lat, wyrosłeś!

- I zmądrzałem - dodał Ulrik. - Uczę nawet Line czytać i pisać!

- No nie, chyba nie robisz takich rzeczy? - przeraziła się Lidia. - Jesteś szalony, chłopcze. To nie jest dla niej dobre!

- Chciałaś powiedzieć, babciu, że nie jest dobre dla nas?

- Ditlef, masz bardzo wygadane syna!

Ojciec uśmiechnął się, ale rzekł z powagą:

- Ulriku, do dorosłych należy odnosić się z szacunkiem.

Ulrik potwierdził, ale niewzruszony obstawał przy swoim.

- Line jest zdolna i uczy się z łatwością. A poza tym jest z nią o wiele zabawniej niż z tą nudną Virginią.

- Ulriku! To nie przystoi, byś rozmawiał ze służbą. Wiesz o tym doskonale! - powiedziała babcia. - Nie chcę więcej słyszeć o takim zachowaniu. Bo jeśli się to powtórzy, będę musiała zwolnić Line.

Usiłował zaprotestować, ale nagle wszyscy troje zamilkli. Rozległ się trzask drzwi frontowych i usłyszeli niezadowolony głos:

- Czy nie ma w tym domu nikogo, kto by otworzył, kiedy pukam? Do tego doszło, że sama muszę sobie otwierać drzwi?

Do domu wróciła Virginia. I nie była bynajmniej w promiennym nastroju.

ROZDZIAŁ X

Nie można powiedzieć, by król Christian IV wpływał triumfalnie do portu w Kopenhadze. Jednak wierni poddani czekali na brzegu i wznosili wiwaty na cześć głowy państwa. Wiele miał wad ten dobry król i niejeden błąd popełnił. Wplątanie Danii w wojnę trzydziestoletnią było chyba jego największą pomyłką. Ale kierowały nim szlachetne pobudki, pragnął dobra swego ludu. Zainteresowaniem otaczał także swych norweskich poddanych. Co najmniej trzydzieści razy odwiedził Norwegię!

Po przybyciu do kraju natychmiast wysłuchał raportów o stanie państwa. Niestety, nie były zbyt budujące. Wojna i cierpienia na Jutlandii, głód i zaraza na pozostałych wyspach, gospodarka w opłakanym stanie, a rządy podczas jego nieobecności chwiejne.

Raz jeszcze uznano, że nieszczęścia, jakie spadły na kraj, to kara boża za grzechy całego narodu. Król ogłosił więc powszechny post i nawoływał do modlitwy, by złagodzić gniew Stwórcy.

A potem monarcha udał się do zamku na odpoczynek.

Ale chyba nielekko mu było na duszy. Bo jego prywatne troski wcale nie były mniejsze aniżeli niepokój o kraj. Małżeństwo z Kirsten Munk rozpadło się w drobny pył. Król podejrzewał, że żona go zdradziła. Powitała go z miną kwaśną jak ocet i zatrzasnęła drzwi przed nosem. Rozkazała swym niemieckim damom dworu położyć się w poprzek przed wejściem, by król nie mógł wtargnąć do jej komnat.

Line wtrącono do tego samego pomieszczenia, w którym wcześniej przetrzymywano Virginie. Była to ciemna brudna klitka, taka jaką podróżni wynajmują na jedną noc. Taka, za którą właściciele żądają zapłaty niewspółmiernej do oferowanych wygód. Ponure otoczenie bynajmniej nie wpływało optymistycznie na dziewczynę. Myślała nieustannie o tym, ile kłopotu sprawiła swym przyjaciołom w domu pani Lidii, no i Berendowi.

Prosta służąca nie była traktowana równie łagodnie jak szlachecianka Virginia. Gustav chwycił ją za kołnierz i potrząsnął.

- No - syknął przez zaciśnięte zęby - wydaje ci się, że tamtego wieczoru w portowej uliczce dokonałaś bohaterskiego czynu? Uratowałaś życie młodemu wojakowi, co? Drogo cię to będzie kosztować, moja ty Łachmaniaro!

Line nie wiedziała, jak nazywa się ten elegancko ubrany mężczyzna, ale domyśliła się, że musi być to któryś z braci von Flanck. No i że jest wściekły, bo to rzucało się w oczy nadto

wyraźnie.

Line była przerażona, ale nie zamierzała tego dać po sobie poznać w niejasnym pragnieniu, by Berend Grim mógł być z niej dumny.

- Czego chcesz, panie, ode mnie? Nie mam nic do powiedzenia!

- Wiemy, ale jesteśmy pewni, że twój kochanek Berend Grim odda królewski list, byleby tylko odzyskać cię całą i zdrową!

- Mnie? O czym myślisz, panie? Przecież on nie jest moim kochankiem! Człowiek tak wysoko urodzony i ja? Nie, to nie uchodzi!

- Nie? To dlaczego zabrał cię do swojego umierającego dziadka?

Wiedzieli o wszystkim, kanalie!

Głos drżał jej zdradziecko, ale odpowiedziała z godnością:

- Bo go do tego zmusiliście, wy i panna Virginia. To ona miała z nim jechać.

Gustav patrzył na nią długo z namysłem. Czyżby znów się pomylił? Nie, to niemożliwe. Nie tym razem.

- On wcale nie jest zainteresowany Virginią, ale... - jego głos brzmiał przymilnie lecz klócił się z lodowatym spojrzeniem oczu - ...ale zaczynam rozumieć jego słabość do ciebie, panienko.

Zmarszczyła brwi. O co mu chodzi?

Gustav, który przywykł, że kobiety same pchały się mu w ramiona, poczuł, że tym razem trafił na nietypową pannę. Na ogół, kiedy tylko przyszła mu ochota spocząć w objęciach kobiet, miał ich pod dostatkiem, ale to niewiniątko było inne, miało w sobie coś niezwykłego...

Właśnie to coś sprawiało, że Virginia, widząc Line, wystawiała wszystkie swoje kolce, że Lone dręczył niepokój o młodszą siostrę, że matka Berenda i jego dziadek poczuli niezrozumiałą tkliwość dla tego dziecka, któremu dane było poznać jedynie ciemne strony życia. Coś, co skłoniło Ulrika, małego przemądrzalca ze szlacheckiego rodu, do rozmowy ze służącą, ba! nauczania jej! Wreszcie to coś, co wywołało chaos w duszy Berenda i sprawiało, że często zapominał o bożym świecie.

A teraz mieszane uczucia targnęły Gustavem. Co, u licha, było w tej dziewczynie...?

Eee, tam! Kobiety to kobiety! Każda to dziwka!

- Wysłaliśmy przed chwilą list - powiedział Gustav podchodząc bliżej. - Wkrótce więc powinniśmy otrzymać królewski dokument, sama zobaczysz. Ale nie oddam Berendowi takiego klejnotu, w każdym razie nie w stanie nie naruszonym. A niech mnie! Ten Grim ma zmysł estetyczny, wie, co piękne!

Te oczy! Fascynujące, tajemnicze, za tą niewinnością kryje się tak wiele... Tak, to rzeczywiście róża, która wyrosła na gnoju.

Line dygotała na całym ciele.

- Co chcesz, panie, zrobić nędznej służącej? To urąga twojej godności!

- Nie próbuj się bronić! I tak mi się nie wymkniesz. Zresztą wcale tego nie chcesz!

Położył jej ręce na biodrach i przywołał na usta uwodzicielski uśmiech. To nie było to samo co z Virginią! Ta dziewczyna miała w sobie coś nieokreślonego, co wabi mężczyzn niezależnie od epoki. Jej czyste spojrzenie kryło niezbadaną głębię. Line wydała mu się znacznie ciekawszym obiektem studiów aniżeli Virginia. A on znał tylko jeden sposób studiowania kobiecego piękna.

Przycisnął ją mocniej i odetchnął świeżym zapachem jej włosów. I to była rzadkość, bo w tamtych czasach mycie włosów nie należało do codziennej higieny.

Gustav wierzył w obezwładniającą moc swych pocałunków. Dlatego mocno przytulił dziewczynę i dotknął jej warg. Następnie rozluźnił uścisk i czekał na efekt.

Line zeszywniała, potem dłonią wytarła usta, powoli i dokładnie, jakby chciała zetrzeć ten pocałunek.

- Nie ma sensu, bym się opierała - rzekła wreszcie. - Bo poznaję po twoich oczach, panie, że tego właśnie pragniesz. Chcę cię tylko ostrzec, że jeśli to zrobisz, odbiorę sobie życie...

- Co? A co to znowu za fanaberie?

- Panie, nie posiadam na świecie nic prócz cnoty i godności. Jeśli to stracę, i to w taki sposób, nie będę miała po co żyć. Myślę, że nie powinieneś mnie tknąć, panie von Flanck. Jak ci wiadomo, panie, samobójcy nie mogą zostać zbawieni i wracają, by dręczyć tych, którzy ich skrzywdzili.

Gustav się cofnął. Jak większość ludzi w tamtych czasach panicznie bał się upiorów. Na polu bitwy był nieustraszoną żołnierzem, odwagą mało kto mógł mu dorównać, ale przerażały go do utraty zmysłów mroczne istoty, których nie można było dźgnąć nożem czy zastrzelić z pistoletu.

- To tylko przechwałki - rzucił niepewnie. - Kobiety są zbyt tchórzliwe, by odebrać sobie życie i skazać się na wieczne potępienie.

Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. A potem wygłosiła wykład tak nieprawdopodobny, że wprost trudno go sobie wyobrazić. Własne przemyślenia przemieszała niezręcznie z sądami, jakie wymieniali z Ulrikiem podczas lektury „Boskiej komedii” Dantego:

- Na własnej skórze odczułam wszelkie zło i niesprawiedliwość tego świata, dlatego zostałam sceptykiem i wolnomyślicielem. Nie obawiam się potępienia. Wierzę bowiem w Boga, który jest dobrą, choć trochę bezradną siłą. Uważam, że to ludzie są źli, a Dobro utraciło nad nimi kontrolę. Piekło jest tutaj, na ziemi. Wiemy o tym dobrze my, którzy mieszkamy w nędznych barakach. A ci, którzy zostali skrzywdzeni, wracają i czynią swoim oprawcom to piekło jeszcze bardziej okrutne. To ludzie wydają wyroki, nie Bóg!

Pod wpływem zdecydowanego spojrzenia dziewczyny, które wyrażało więcej niż nieporadnie sklecone zdania, Gustava ogarnęła niepewność. Podjął jednak ostatnią próbę, by ją zastraszyć.

- Sama sobie zaprzeczasz! - rzekł ostro. - Zresztą nawet nie zdążysz odebrać sobie życia, bo najpierw ja dźgnę cię nożem.

- Chyba że tak - odpowiedziała ze spokojem. - Ale duchy zamordowanych mszczą się podwójnie na swych katach.

Zaśmiał się pogardliwie.

- Zabiłem setki ludzi na wojnie. I nikt mnie nie prześladowuje.

- To całkiem inna sprawa. Ich miałeś prawo pozbawić życia. Ale jeśli zabijesz mnie za to, że nie dostałeś tego, czego chciałeś, pogwałcisz prawa natury. A wówczas, kiedy umrę, staniesz się moją zdobyczą.

- Ty kłamliwa dziewczko! - krzyknął. - Myślisz, że nie czuję, jak drżysz? Czy sądzisz, że nie widzę przepelniającego cię pożądania, mimo że chcesz uchodzić za niewiniątko?

Postanowił ją zdeptać. Nie zamierzał przegrać tego pojedynku.

- Pożądanie?

- Tak, wiem, że masz na mnie ochotę! Znam się na tym. Wiem, że tego chcesz!

- Nie!

Cicha i spokojna odpowiedź wytrąciła go na moment z równowagi. Gustav słyszał „nie” wiele razy. Nigdy jednak odmowa nie była szczera, zwykle stanowiła tylko element gry. „Nie” mówiły też młode dziewczęta, które pragnęły go, ale się bały. Zakwalifikował Line do tej właśnie kategorii.

Tymczasem jej „nie” było jak smagnięcie batem.

- Posłuchaj - rzekł zjadliwie, nie panując nad gniewem. - Wiesz, kim jestem? A wiesz, kim ty jesteś? Gównem, nikim! Powinnaś czuć wdzięczność, że taki szlachcic jak ja w ogóle chce cię dotknąć!

- Nie widzę tu szlachcica - rzekła Line przerażona, jednak gotowa do końca dotrzymać pola wrogowi Berenda. - Słowo „szlachta” kojarzy mi się z czymś szlachetnym, pięknym,

czymś, co chciałoby się wziąć za wzór. Nie dostrzegam w tobie, panie, żadnej z tych cech.

- Nie widzisz piękna? - W głosie Gustava pobrzmiwała groźna nuta. - A, to coś nowego!

Line zbierało się na płacz, ale dzielnie trwała przy swoim.

- Te twoje oczy, panie. Są jakby zrobione ze szkła, takie martwe. Zagnieździło się w nich całe zło tego świata. Współczuję ci, panie, że musisz pokazywać się ludziom z takimi oczami.

Odepchnął ją z dzikim krzykiem, aż się przewróciła i uderzyła tyłem głowy o krawędź łóżka.

- Łudziłaś się, że zechcę cię tknąć, ty plugawa nędzna istoto! - zawył i zatrzasnął za sobą drzwi.

Line wstała i, dotknęła głowy. Jej twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie. Spojrzała na dłoń, ale nie dostrzegła śladów krwi. Na potylicy wyczuła jedynie spory guz.

Bolał ją łokieć. Szczękała zębami rozdygotana po tym słownym pojedynku. Czy zachowała się nieuprzejmie? Czy zaszkodziła Berendowi, pani Lidii i w ogóle wszystkim? Trudno! Nie mogła przecież przystać na żądania tego wstrętnego typu. Za wszelką cenę pragnęła zachować niewinność, a potem niech się dzieje co chce.

Uff, jak strasznie się boi, że teraz może się coś stać Berendowi. A przecież tak chciała mu pomóc, nie zaś narobić kłopotów.

Line siedziała na brzegu łóżka przez wiele minut, nim w końcu się uspokoiła.

Gustav stał przy oknie w pokoju na dole i ciskał przekleństwa.

Torben czekał, ale nie padło żadne wyjaśnienie. Brat wciąż nie ruszał się z miejsca. Torben jeszcze nigdy nie widział go tak rozsierzonego.

Wreszcie Gustav odwrócił się i powiedział:

- Idź do niej na górę, Torben! Ale uważaj, by nie odebrała sobie życia lub nie zrobiła czegoś głupiego. I... masz moje błogosławieństwo! Możesz się z nią zabawić do woli. Ale jej nie zabij! Nie ma w sobie chrześcijańskiej wiary i utrzymuje konszachty z diabłem! A wiesz, takie powracają!

Torben uśmiechnął się niepewnie i wszedł na górę. Tego wieczoru nie poznawał swego brata.

Line siedziała na łóżku jak przedtem. Pomodliła się i poprosiła Boga o przebaczenie za wszystkie herezje i wątpliwości, jakim dała wyraz. Wprawdzie to, co powiedziała, było raczej echem trzeźwej filozofii życiowej Ulrika, ale prawdę powiedziawszy sama także miała

własne przemyślenia. Zastanawiała się, gdzie jest Bóg, gdy jego umiłowane dzieci głodują, cierpią, marzną, umierają. Nie powinna jednak mówić tego na głos. Zachowała się bezbożnie i źle.

Usłyszała kroki na wąskich wysłużonych schodach. Wyprostowała się, ale nie była ciekawa, kto idzie.

Wszedł ten drugi mężczyzna.

Torben oparł się o futrynę i patrzył na dziewczynę, bawiąc się przy tym swym wspaniałym nożem. Było coś w jej postawie, co wyjaśniło mu, dlaczego Gustav zszedł taki poirytowany. Nie udało mu się narzucić swej woli. Ale brat nie przywykł prosić o pozwolenie. Co się więc tutaj wydarzyło?

Nagle spostrzegł, że dziewczyna uśmiecha się do niego.

- Nazywasz się, panie, Gustav von Flanck, prawda?

- Ja? - zdumiał się. - Nie, ja jestem Torben!

- Dziwne, a mówią, że to Gustav jest... - zamilkła.

Ciekawość wzięła górę i Torben mimo woli zapytał:

- Jaki jest?

- Jest bardziej urodziwy.

Torben stał jak rażony gromem. Czyżby naprawdę uważała go za przystojnego? Wprawdzie nie powiedziała tego wprost, ale nie ulega wątpliwości, że to właśnie miała na myśli.

- Co, u licha, chciałaś przez to powiedzieć? - spytał ostro, nie opuszczając swego posterunku przy drzwiach. Na szczęście zamknął drzwi na dole.

- Nie masz, panie, takich okropnych oczu jak on!

Gustav ma okropne oczy? A to dopiero! Przecież on sam taki był dumny ze swego twardego, bezlitosnego spojrzenia!

Ale Line nieświadomie wyczytała we wzroku Torbena długą historię o młodszym bracie, który żył w cieniu podziwianego starszego brata. Gotów był na wszystko, byleby tylko zasłużyć na jego pochwałę.

Torben, by odzyskać równowagę, ujął ostrze noża pomiędzy kciuk a palec wskazujący i rzucił. Nóż ze świstem przeciął powietrze i wbił się w podłogę tuż przy nogach dziewczyny.

- Oj! - zawołała Line. - Jak to zrobiłeś, panie? - Wyciągnęła nóż i podała mu. - Proszę, rzuć jeszcze raz, żebym się mogła tego nauczyć.

Klął w duchu, że dał się sprowokować, i dosłownie rzucił jej broń w prezencie. Ale ta głupia gęś grzecznie mu ją oddaje. Przeszedł dwa kroki i wyjął swój nóż z jej ręki Spokojnie

włożył go do pochwy.

- Nie będziemy się bawić! A jeśli już, to na moich warunkach!

- Mówisz takim samym dialektem jak pewien Jutlandczyk, którego znam. Czy pochodzisz z Flanckshof?

- O, nie! Twój wspaniały przyjaciel odebrał naszemu ojcu dziedzictwo, przy pochlebając się królowi Fryderykowi. Zabrali dwór, który powinien należeć do nas.

Line pokiwała głową ze współczuciem.

- Słyszałam o tym. Moim zdaniem niesłusznie karze się synów za to, że ich ojciec został oskarżony o zdradę.

- A więc przyznajesz, że Flanckshof jest nasze?

- Nie, teraz Flanckshof należy do Ulrika, bo tak postanowił król. Ale, moim zdaniem, powinien przydzielić wam za to inny majątek.

- Tak uczynił, ale co nam po tym. Flanckshof jest nasze!

- W takim razie nie macie powodów do narzekań - stwierdziła Line. - Dbajcie o ten dwór zamiast zabiegać o posiadłość, która nigdy do was nie należała.

Torben, który uznał, że Line za dużo gada, przydepnął jej obcasem nogę.

- Co ty możesz o tym wiedzieć!

- Mało masz, panie, podłogi, że tak nachalnie depczesz po mnie? - zapytała Line, skrywając, jak bardzo ją to zabolalo.

Torben cofnął nogę. Nie podobało mu się słowo „nachalnie”. Uważał, że brzmi gminnie.

Usiadł obok dziewczyny i przyłożył jej nóż do pleców.

- Musisz mnie, panie, macać bez przerwy niczym zakochany młokos?

Podskoczył.

- No, zakochany to ja nie jestem!

- Tak też myślałam. Ale zachowujesz się tak nerwowo, jakbyś nie mógł spokojnie usiedzieć. Jeśli już masz rozkaz mnie pilnować, to lepiej porozmawiajmy!

Torben zaśmiał się pogardliwie.

- Mam siedzieć i rozmawiać ze służącą? O czym?

- Hm - rzekła Line, która z gorliwością neofity prezentowała swą świeżo nabytą wiedzę. - Co sądzisz na przykład o „Boskiej komedii” Dantego? Właśnie to czytam.

Popatrzył na nią badawczo, jakby się chciał upewnić, czy się nie przechwala, ale Line odpowiedziała mu szczerym spojrzeniem.

Przeciągłym „eee tam” zakwestionował temat, gdyż nie czytał książki. Rzekł

natomiast obojętnie:

- A więc uważasz, że prezentuję się lepiej niż Gustav? Chyba jesteś szalona!

- Może, ale to sprawa gustu.

- Nie pojmuję, co ci się we mnie może podobać! Wszyscy wiedzą, że to Gustav został hojnie obdarzony przez naturę. Otrzymał wszystko, co najlepsze. Przed nim wszyscy padają plackiem.

Line wyjaśniła mu, dlaczego jego twarz wydaje się jej ładniejsza niż twarz Gustava, a Torben przerywał jej, mówiąc: „Głupstwa opowiadasz” i „Chyba jesteś niemądra”. Wsluchiwał się jednak w jej słowa uważnie.

A kiedy na schodach rozległy się kroki starszego brata, o którym tyle mówili, bardzo się zirytował.

ROZDZIAŁ XI

Berend zrozumiał w końcu, że byłoby szaleństwem z jego strony, gdyby w pojedynkę starał się uwolnić Line. Torben i Gustav byli niebezpiecznymi przeciwnikami, a przecież może z nimi być jeszcze ten trzeci - kompan z wojny, którego Berend nie znał. Mieli w ręku wszystkie atuty, znajdowali się w środku budynku, więc łatwiej im było się bronić, a do tego przetrzymywali Caroline...

Czas naglił. Przez wzgląd na chłopca, który przyniósł list, Berend musiał rozegrać to szybko i z pomyślnym rezultatem. Dlatego potrzebował pomocy.

Straż miejska w Kopenhadze nie cieszyła się zbyt dobrą opinią. Właściwie na co dzień widać było jedynie latarników, którzy obchodzili główne ulice oświetlając je pochodniami i wykrzykując, która jest godzina. Na wójta i jego ludzi też raczej trudno było liczyć, zwłaszcza w takim przypadku.

Berend pomyślał, że musi się udać na zamek, do dowódcy warty. Uzbrojeni ludzie... to jedyny ratunek.

Ale czy gwardzistom wolno opuszczać teren zamku? Wątpliwe. No, ale może przecież spróbować, skoro i tak jest w pobliżu.

Na jednej z wielu wież zamkowych powiewała duńska flaga. Jego Wysokość przebywa w swojej rezydencji.

Oczywiście zatrzymał go wartownik. Berend przedstawił swą prośbę, ale gwardzista oświadczył zdecydowanie, że nie ma możliwości wyprowadzenia gwardii królewskiej poza teren zamku. Dopiero by to było, gdyby każdy mógł tak zrobić! I poradził Berendowi, by udał się do straży miejskiej.

Berend zagryzł wargi. Co począć?

Nagle usłyszał głośnie wołanie: „Berend Grim? Czy mnie oczy nie mylą?”

Nadchodziła właśnie gromada żołnierzy. Widać fetowali powrót do domu, bo krok mieli dość chwiejny. Berend zobaczył znajome twarze i pośpiesznie ruszył ku kompanom.

Po powitaniu Berend opowiedział im, co się wydarzyło, i zapytał, czy mogliby mu pomóc.

Żołnierze byli w szampańskich nastrojach, a gdy usłyszeli, że chodzi o pyszałkowatych braci von Flanck, przyłączyli się natychmiast - cała siódemka.

- Piękną dziewczę, która popadła w kłopoty, zawsze jesteśmy gotowi uwolnić - rzekł

jeden z nich.

- Zwłaszcza od dziewictwa - ze śmiechem dodał drugi. Berend puścił te dowcipy mimo uszu. Nie miał czasu na zatargi, no i potrzebował pomocy.

Szybko przeszli krótki odcinek drogi, jaki ich dzielił od domu, w którym przetrzymywano Line. Po drodze ci, którzy jeszcze byli w stanie jasno myśleć, omawiali plan uderzenia.

- Może ich być trzech - ostrzegał Berend.

- Myślisz o tym ich pomocniku? Tym, który zawsze kręcił się w pobliżu? Nie ma obawy! Siedzi w pudle za dezercją.

A brat Virginii popadł w delirium. Tak więc zostali tylko dwaj bracia.

- Poczekajcie! - zawołał jeden z żołnierzy. - Musimy sprowadzić Niedźwiedzia!

- Jasne! - krzyknęli pozostali.

- O ile nie leży już gdzieś pod stołem - wyraził ktoś swą obawę.

Berend poczuł, że sływa nań spokój. Jeśli pójdzie z nimi Niedźwiedź, to wszystko się dobrze skończy.

Byleby tylko bracia nie zdążyli skrzywdzić Caroline! Nie, to nie może się zdarzyć!

Czekali, aż będą w komplecie. Uzbierało się ich dwunastu. Niejeden miał ochotę utrzcę nosa braciom von Flanck, zwłaszcza po tym, jak wypili coś mocniejszego i nie bali się odpowiedzialności. Bo przecież był z nimi ich dowódca Niedźwiedź.

Berend z szacunkiem uklonił się potężnemu mężczyźnie, który przyszedł z nim porozmawiać, żeby zorientować się w sytuacji.

Omówili plan uderzenia. Berend początkowo miał pozostać w ukryciu, a najlepiej żeby w ogóle się nie pokazywał. Braci niech pozostawi żołnierzom. Niedźwiedź także nie od razu zamierzał się ujawnić.

Berend nie odczuwał najłżejszych nawet wyrzutów sumienia.

Myślami był przez cały czas przy uwięzionej Caroline, która z każdą chwilą stawała się mu droższa.

- Potrzebuję tylko paru minut, żeby wyprowadzić dziewczynę - powiedział. - Potem możecie ich puścić wolno.

Zaśmiali się, a Berend nie był pewien, co ten śmiech zwiastuje.

Nie chciałby się teraz znaleźć w skórze braci von Flanck!

Gustav von Flanck zdziwił się, że na górze zrobiło się tak cicho. Powinien stamtąd słyszeć płacz i błaganie o litość. Co ten Torben wymyślił?

Chyba nie rzucił się na dziewczynę i jej nie zhańbił? Może nie zdawał sobie sprawy, że w takim przypadku ona odbierze sobie życie, a po śmierci będzie ich prześladować.

Nie, gwałt nie odbywa się w takiej ciszy!

Wszedł po schodach. Ciche głosy. Rozmawiają! Wielkie nieba! Czy ten Torben stracił rozum? Nędzna służąca, gówniara z dzielnicy biedoty?

Ich zakładniczka! A jego brat ucina sobie z nią pogawędkę! Gustav rozwścieczony szarpnął drzwi. Torben poderwał się na równe nogi. Dziewczyna nie wstała.

Nie przebierając w słowach, Gustav przywołał brata do porządku i polecił mu natychmiast zejść na dół.

Na dole dostało się Torbenowi za swoje. Jeszcze nigdy brat nie obrzucił go takim stekiem wyzwisk. Torben miał na swą obronę tylko jedno:

- Jasne, że się z nią nie zaprzyjaźniłem! Przez cały czas dyskutowaliśmy i w niczym się nie zgadzaliśmy. Zbijałem każdy jej argument. Ale, sam rozumiesz, że jak na dziewczynę, i to nieuczoną, ta mała jest dość niezwykła.

- Wiem, że jest niezwykła - wrzasnął Gustav. - Ale nigdy by mi nie przyszło do głowy wdawać się w dyskusję z takim zerem!

Ciągle nie mógł pojąć, dlaczego nie zachwyciła się jego urodą.

- Poza tym myślała, że mam na imię Gustav - roześmiał się Torben.

- Co? Jak mogło jej to przyjść do głowy?

Gustav był dumny ze swej popularności. Wszyscy wiedzieli, kto to jest Gustav von Flanck! Torben dodał złośliwie:

- Słyszała, że Gustav jest przystojniejszy.

- I to niby miałbyś być ty?

- Najwyraźniej!

Takiego poniżenia Gustav jeszcze nigdy nie doświadczył.

- I ty jej uwierzyłeś? - syknął. - Ty zarozumiały idioto! Czy nie pojmujesz, że ona tylko...?

Nagle zamilkł. Ktoś pukał ostrożnie do drzwi wejściowych.

- No, wreszcie! Wraca posłaniec z królewskim listem - powiedział Gustav.

- Nie ma co, zajęło to mu sporo czasu! - zauważył Torben. - Ale w końcu mamy to, czego chcieliśmy. Berend Grim nie dopuści, aby tej dziewczynie na górze włos spadł z głowy. Na to jest zbyt rycerski.

- A jednak Virginie puścił kantem - przypomniał mu Gustav.

- Zrobiłbym to samo - mruknął Torben.

Brat posłał mu ostre spojrzenie, po czym ostrożnie uchylił drzwi. Otwarty się z takim łoskotem, że Gustav musiał uskoczyć w bok, by nie uderzyły go w głowę.

Do środka wtoczyła się wesola gromada.

- Gustav! Torben! Na zamku usłyszeliśmy, że zatrzymaliście się tutaj. Ktoś widział, jak wchodziliście do tego domu! - zawołał jeden z żołnierzy, by uwolnić od podejrzeń Berenda i posłańca.

- Zabieramy was, idziemy fetować powrót do domu - krzyczeli. - Chodźcie!

Żołnierze otoczyli ich kołem, ciągnęli i popychali w stronę drzwi.

- Przestańcie! - usiłował ich uciszyć Gustav. - Nie możemy teraz wyjść. Czekamy na kogoś!

- Żadnych ale, chodźcie!

Wesola gromada pchała ich w stronę drzwi.

- Nasza siostra leży chora w pokoju na górze. Nie możemy jej zostawić. Czekamy na doktora!

- Zostawcie otwarte drzwi, to sam się dostanie do środka!

Byli już w przedsionku.

- Ona jest chora na dżumę! - krzyknął Torben. - My też mogliśmy się od niej zarazić.

- Dżuma? A cóż to dla nas! - żartowali żołnierze, doskonale zorientowani, kim jest ta siostra na górze. - Mało to razy zetknęliśmy się z zarazą w Niemczech!

- Puśćcie nas! - ryknął rozjuszony Gustav. - Nie zapominajcie, że jestem majorem! Mogę was wsadzić....

- No, no - odezwał się na schodach łagodny na pozór głos. - Dotrzymacie nam dziś wieczór kompanii przy kieliszku, czy też porozmawiamy o grabieżach i dezercji na Jutlandii?

Bracia zdrętwieli. Torben odruchowo oddał honory.

Oto stał przed nimi ich przełożony, pułkownik zwany Niedźwiedziem, który w armii króla Christiana wzbudzał największy respekt.

- Więc jak? Idziecie się z nami zabawić, chłopcy? - rzekł z osobliwym błyskiem w oku, a jego bas pobrzmiwał groźnie.

Gustav próbował się jeszcze opierać. Że też musiało się to zdarzyć akurat w takiej chwili, kiedy lada moment nadejdzie królewski list i będą mogli zagarnąć Flanckshof!

- Nie teraz, pułkowniku!

- Bez wykrętów, idziemy!

Roześmiał się i dał znak swoim ludziom, którzy wzięli na ramiona Torbena i Gustava i

wynieśli ich triumfalnie na ulicę w hałaśliwym pochodzie.

Dziki protesty obu braci utonęły w ogólnej wrzawie. Przechodnie uśmiechali się na widok wesołej gromady młodych ludzi, którzy taszczyli na swych barkach dwóch kołujących się mężczyzn.

W całym swym nieobyčajnym życiu Gustav i Torben jeszcze nigdy nie doznali takiego upokorzenia.

Ledwie pochód zniknął za węglem najbliższego budynku, Berend wpadł do domu, w którym przebywała Caroline. Zdjęty trwogą o dziewczynę z trudem łapał oddech. Słyszał słowa Gustava, który wspomniał coś o chorej siostrze. To by znaczyło, że Caroline żyje, ale czy jej nie skrzywdzili?

Bracia zostali zaskoczeni, więc na pewno nie zdążyli wykorzystać dziewczyny jako zakładnika czy jako żywej tarczy. O Boże, Boże, ulituj się!

Berend w kilku susach wbiegł po schodach. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: musi zobaczyć w oczach dziewczyny jasny blask, tę niezachwianą silną wiarę w ludzi.

Jeśli zgasłby ów blask... Cóż mu pozostanie na tym świecie, o co warto by walczyć?

Line siedziała skulona na łóżku. Zastanawiała się, co oznacza zgiełk na dole. I dlaczego nagle zrobiło się tak cicho?

Ktoś wbiegł po schodach. Napięta jak struna wpatrywała się w drzwi, które otworzyły się gwałtownie.

Berend? To przecież Berend!

Doznała nagłej ulgi i ze szlochem skoczyła mu na spotkanie. Wziął ją w ramiona i przycisnął mocno.

- Najdroższa Caroline! - szeptał. - Najdroższa moja przyjaciółko! Jak się czujesz?

- Dobrze - płakała. - Dziękuję, że przyszedłeś!

- Czy...? Czy zrobili ci coś złego? - spytał wstrzymując oddech.

- Gustav miał taki zamiar - odpowiedziała zawstydzona. - Ale powiedziałam mu, że jeśli mnie tknie, to odbiorę sobie życie. I nie żartowałam! Zagroziłam przy tym, że wrócę po śmierci, żeby się na nim zemścić. Ale tego nie mówiłam serio.

Berend był zdumiony jej odwagą. Wymyślić coś takiego! Rzeczywiście, jedynie upiory mogły przerazić takiego potwora jak Gustav von Flanck.

- A Torben?

- Torben jest niegroźny.

- Co? Niegroźny? Moja droga....

- Prawie się zaprzyjaźniliśmy.

- Co takiego? Resztę opowiesz mi później. Teraz musimy stąd czym prędzej uciekać!

Berend rozmawiał jednak jeszcze przez chwilę z właścicielką, pomógł jej coś napisać i wyłożył okrągłą sumkę.

Potem pośpiesznie ruszyli ulicami miasta do domu pani Lidii.

Zmrok już zapadł, gdy dotarli na miejsce. Ale jacy byli szczęśliwi! Berend udzielił posłańcowi kilku rad. Lidia dziękowała Berendowi. Wszyscy ściskali Line, a ta wydała radosny okrzyk, ujrawszy kalekę, który usiłował jej pomóc.

- Bogu dzięki, że tu jesteś, panie. Tak się bałam, że cię pobili...

- Nie, nic mi się nie stało.

Line nie okazała najmniejszego zdziwienia, widząc dawnego żołnierza w pięknych wnętrzach domu pani Lidii.

- To mój ojciec - rzekł Ulrik.

Zrobiła wielkie oczy i spoglądając to na chłopca, to na kalekę zawołała:

- To prawda! Niesamowite!

Po chwili przypomniała sobie, że przecież ma w tym domu swoje obowiązki, więc rzekła prędko:

- Pani Lidio, już lecę do moich wieczornych, zajęć!

- Poczekaj, Line! Dziś wieczór masz wolne.

Dygnęła i podziękowała, uśmiechając się przy tym promiennie do Berenda, który przytrzymał ją za ramię, by nie odeszła.

- Pani Lidio - odezwał się Berend. - Dziś wieczór chyba pozwolimy Jego Wysokości wypocząć, ale jutro, skoro tylko pora będzie odpowiednia, udam się do zamku i poproszę o potwierdzenie autentyczności królewskiego listu.

- Uczynisz to, Berendzie? Pamiętaj jednak, bądź ostrożny! Gustav i Torben z pewnością nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

- Ma pani rację!

Wszyscy spojrzeli na drzwi, usłyszawszy, że ktoś wchodzi. To była Virginia. Na widok zgromadzenia przystanęła gwałtownie. Ręka Berenda na ramieniu Line nie nastroiła jej przyjaźnie.

- Co to? - zapytała ostro. - Kuchnia czy kącik żebraczy?

Lidia ze spokojem odpowiedziała:

- Pozwól, Virginio, przywitaj się! Ojciec Ulrika wrócił do domu.

Virginia zdrętwiała, przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. Przypomniła sobie pewnie wyzwiska, jakimi obrzuciła kalekę na ulicy. Skinęła głową. Znała przecież Ditlefa, bo przez wiele lat mieszkali razem we Flanckshof. Potem zwróciła się do Berenda:

- Trzy godziny czekałam przy wodopoju - powiedziała z miną cierpiętnicy.

- Przy wodopoju?

- Tak, obiecałam przecież spotkać się tam z tobą dzisiaj, bo wczoraj nie mogłam. Ale zapewne nie przekazano ci wiadomości - dokończyła, rzucając jadowite spojrzenie na Line.

Virginia wybrała się na spotkanie z Berendem, bo po porażce z Gustavem postanowiła być dla niego trochę miłsza. Może okazać się przydatny, zwłaszcza jeśli będzie potrzebowała tatusia dla niechcianego dziecka.

- Otrzymałem wiadomość, ale całkiem o tym zapomniałem.

Oddech zamarł jej w piersiach.

- Zapomniałeś?

- Doprawdy mi przykro, że musiałś czekać na próżno. Ale miałem na głowie wielki kłopot, bo bracia von Flanck porwali Caroline.

- Mnie też porwali! - wyrwało się Virginii. - Dziś rano!

- Owszem, ale przyznasz sama, że była pewna różnica.

- Jaka?

- W powadze sytuacji.

- Aha! - rzekła z pogardą. - Wolisz więc Łachmaniarę ode mnie?

- Tak! Ubolewam raz jeszcze, jeśli robiłaś sobie jakieś nadzieje.

Virginia zadała to pytanie z ukrytym szyderstwem, by uprzytomnić Berendowi, jak niewłaściwie się zachował. Jego odpowiedź kompletnie zbiła ją z tropu. Obróciła się na pięcie, chcąc ukryć rozczarowanie.

- Poczekaj, Virginio! - zatrzymała ją pani Lidia. - Jego Wysokość urządza jutro przyjęcie. Jesteśmy zaproszone. Niestety, ja nie pójdę, bo okropnie bolą mnie nogi A ty?

Virginia odwróciła się ponownie do zebranych. Jej twarz nie zdradzała już żadnych emocji.

- Naturalnie, że pójdę! - odpowiedziała. - Przynajmniej spotkam się z ludźmi z mojej sfery, a nie z kramarzami i inną hołotą.

I odeszła dumnie zadarłszy głowę. Dostało im się!

Berend Grim, ten głupiec, był dla niej najwyraźniej stracony. Na dworze jednak roi się od kawalerów i szlachciców, którzy właśnie powrócili z wojny. Jeśli wykorzystają swoje atuty...

Najgorsze jest to, że utraciła dziewictwo. Ale przecież jest tylu naiwnych mężczyzn, którzy z radością wezmą ją za żonę.

A jeśli ta niemądra przygoda z Gustavem będzie miała przykre następstwa?

Musi czym prędzej wyjść za mąż!

Najbardziej rozdrażniło ją to, że utraciła Berenda Grima, którego uważała za swą najpewniejszą kartę. Z jego oferty chciała skorzystać w ostateczności. Tymczasem on tak ją poniżył! I to na oczach tej Łachmaniary!

Virginia ze złością kopała łóżko w swoim pokoju. Wszystko się sprzysięgło przeciwko niej! Choć z natury nie była skora do płaczu, szlochała głośno, a łzy kapły jej po policzkach. Tak bardzo rozżaliła się nad sobą.

Pani Lidia nalegała, by Berend przenocował w jej domu. Obawiała się, że bracia von Flanck czatują na niego w ukryciu. Berend przyjął z wdzięcznością zaproszenie. Postanowił jednak wrócić do siebie, gdy tylko nadejdzie świt. Liczył na to, że o brzasku bracia udadzą się już na spoczynek, w tym czy innym miejscu - te ostatnie słowa wypowiedział z tajemniczym uśmiechem, który tylko Line zrozumiała,

Berend miał jeszcze jeden powód, aby zostać. Musiał pomówić z Caroline, wyjaśnić i uporządkować wszystko, co trudne i niezrozumiałe, nad czym zamierzał przerzucić most.

Gdy tylko żołnierze donieśli Torbena i Gustava do gospody niedaleko zamku, bracia wyrwali się i pognali do domu.

Ten upokarzający pochód trwał niemiłosiernie długo. Miał wszak jedną zaletę. Bracia von Flanck dowiedzieli się od fetujących żołnierzy, że następnego dnia na zamku król urządza wielkie przyjęcie dla szlachty i oficerów, którzy brali udział w wojnie. Zaprosił wszystkich wraz z damami, o ile oczywiście goście zechcą je przyprowadzić. Gustav i Torben nie odczuwali żadnych wyrzutów sumienia z powodu swej dezercji z armii na Jutlandii. Zamierzali pójść na królewskie przyjęcie, bo spodziewali się niezłej zabawy.

Ale najpierw musieli dokończyć sprawę Łachmaniary, ich zakładnika...

Już z daleka dostrzegli kartkę na drzwiach, a gdy podeszli bliżej, zobaczyli swoje bagaże na zewnątrz, poustawiane starannie jeden na drugim. Na kartce widniał napis: „Wyjechałam na czas nieokreślony. Judit Andersen, właścicielka”.

Berend załatwił to tak, że właścicielka domu miała zamieszkać wraz z synem u jego krewnego pod Kopenhagą i wrócić dopiero, gdy bracia von Flanck się uspokoją.

Gustav szarpnął drzwi, ale były zamknięte. Właściwie i tak nie mieli po co wchodzić

do środka. Wiedzieli wszak doskonale, że ptaszek wyfrunął z klatki

Pomińmy w tym miejscu przekleństwa, jakie posypały się z ich ust. Gdy opadły emocje, bracia popatrzyli po sobie i zrozumieli się bez słów. Berend Grim nie prześlizgnie się jutro do króla. Już oni o to zadbają!

ROZDZIAŁ XII

Późnym wieczorem Line, wracając do siebie, przechodziła obok pokoju Ulrika. Przystanęła, bo zza drzwi dobiegł ją stłumiony płacz. Po chwili namysłu weszła do środka.

W lekkiej poświacie sączącej się przez okno dostrzegła na łóżku skuloną postać. Po cichu przysiadła się na brzegu pościania i pogłaskała chłopca po głowie.

- To ja, Line, paniczu Ulriku. Może porozmawiamy o tym, co panicza gnębi. Zwykle przynosi to ulgę.

Cisza.

- Nic się nie stało. Trochę boli mnie ząb - powiedział smętnie chłopiec.

- Ten ból zęba to panicz pewnie czuje w sercu! Niech no panicz się przyzna, co mu leży na wątrobie!

Mimo woli wybuchnął śmiechem, choć nie przestawał pociągać nosem.

- Ból zęba, serce i wątroba! Och, Line chyba jesteś całkiem niemądra!

Dziewczyna także się uśmiechnęła i rzekła:

- To był trudny dzień dla nas wszystkich, nie wyłączając panicza Ulrika.

Wtedy chłopiec odwrócił się do niej i błagalnie wyciągnął ręce:

- Chcę mieć z powrotem mojego ładnego tatę!

Line podniosła drżącego chłopca, przytuliła go i zaczęła pocieszać.

- Myśli panicz, że tego nie rozumiem? Kiedy umarła moja mama, pragnęłam tego samego. Chciałam, żeby wstała z grobu i wróciła do nas. Taka byłam wtedy głupia.

Ulrik pokiwał głową.

- Kiedy umarła moja mama, wszyscy myśleli, że jestem za mały, by to zrozumieć, ale ja rozumiałem.

- Chyba zawsze był panicz mądrym i rozsądnym dzieckiem.

- Tak, ale ty nie masz takiego taty jak ja - zaczął chlipać od nowa.

- Nie, ja w ogóle nie mam ojca. A bardzo bym chciała mieć takiego miłego i dobrego tatę jak ty. Mój nie był miły, a mimo to czasem za nim tęsknię.

- Tak, rzeczywiście, tata jest bardzo dobry, ale...

- Więc panicz dzisiaj tylko udawał, że nie doznał wstrząsu, gdy się dowiedział, że ten okaleczony żołnierz jest jego ojcem?

- Trochę udawałem, choć przez cały czas próbowałem, tak jak mi kiedyś radziłaś, myśleć o tym człowieku, który jest w środku.

- Paniczu Ulriku! Jeśli było ci tak ciężko, a nikt tego nie zauważył, to znaczy, że panicz jest jeszcze lepszym chłopcem niż myślałam. Może mi panicz wierzyć, że jego tata się raduje, że ma tak wielkodusznego syna. Chociaż ja doskonale wiem, że panicz bywa czasem trochę pyszałkowaty.

- I co mi po tej wielkoduszości! Chcę mieć z powrotem mojego tatę, zdrowego!

- Nie da się cofnąć czasu! Liczy się tylko to, co jest tu i teraz! Musimy przyjąć pana Ditlefa takim, jaki jest. Rozumiem, że to sprawia paniczowi ból. Proszę jednak pomyśleć, kto cierpi najbardziej. Nie pani Lidia ani panicz Ulrik, nie my, którzy patrzymy na niego. Bo w każdej chwili możemy gdzieś odejść, by odpocząć od tego widoku. Ale twój ojciec, paniczu, nie może uciec od samego siebie. Zastanów się, jakie to ogromne cierpienie! Zastanów się, paniczu Ulriku, jakby to było, gdybyś wyglądał tak jak on.

- Tak - szepnął chłopiec i wsunął się z powrotem do łóżka.

- A do wszystkiego można przywyknąć - dodała Line.

- Wkrótce oswoimy się z jego wyglądem, bo przecież kochamy tego człowieka. A oczy miłości mają czarodziejską moc przemieniając największą brzydotę w coś, co najcudowniejsze na świecie.

Nagle zauważyła kogoś w drzwiach. To był Berend. Zastanawiała się, jak długo tam stał.

- Witaj, Berendzie - zwrócił się do niego Ulrik, znacznie już pogodniejszy niż przed chwilą. - Dyskutujemy sobie właśnie i Line prawie całkiem przywróciła mi dobry humor.

- To dobrze, Ulriku. Wiesz, ja już też ochłonałem trochę po pierwszym szoku, jaki przeżyłem na widok twego taty. Wspólnie postaramy się stworzyć mu jak najlepsze warunki, przynajmniej tu w domu. Zgoda?

- Zgoda! Cieszę się, że jest nas troje - powiedział Ulrik. - Troje tych, którzy rozumieją.

- Właśnie. A jeśli kiedyś znowu będzie ci ciężko, to przyjdź do mnie albo do Caroline, żeby porozmawiać. No, czas już spać! Teraz ja muszę zamienić kilka słów z Caroline, i to na całkiem inny temat!

Powiedzieli chłopcu dobranoc i zamknęli drzwi. Berend odprowadził Line do jej pokoju przy frontowym wejściu. Ale nie weszli do środka, bo nagle wydało im się, że byłoby to niestosowne. Usiedli na starym kufrze, który stał blisko drzwi.

Rozmawiali szeptem, by nie zbudzić służących mieszkających w pobliskich pokojach.

- Mogę tu zostać tylko przez chwilę - rzekł Berend. - Mój pokój sąsiaduje z sypialnią pani Lidii. Nie chciałbym, aby pomyślała sobie coś nieodpowiedniego o nas.

Line trzymała ręce na kolanach i nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Berend miał wyraźnie ten sam problem. Ukrył twarz w dłoniach, szukając odpowiednich słów.

W końcu zaczął mówić.

- Świat stworzył tak wiele konwenansów, Caroline. W naszym życiu tyle jest ograniczeń i przesądów, tyle snobizmu.

- Co masz na myśli?

- Chcę powiedzieć, że gdybyśmy ty i ja mieli ze sobą romans, nikogo by to nie dziwiło. Nawet kościół przymyka oko na takie sprawy i unika wypowiedzi na ten temat. Ale ja nie chcę żyć z tobą w luźnym związku, nie uznaję tego. A przede wszystkim ty jesteś na to zbyt dobra. Jeśli jednak postąpiłbym uczciwie, to znaczy ożeniłbym się z tobą, czego bardzo pragnę, wtedy usłyszałaśbyś wielki lament! Wszyscy moi partnerzy w interesach, a także przyjaciele odwróciliby się od ciebie, zmroziliby cię swym chłodem. Każdego dnia poddawana byś była surowym ocenom, a na to, moja droga, nie zasłużyłaś.

Line słuchała go tylko jednym uchem. Dla niej liczyło się jedynie to, że Berend pragnie się z nią ożenić. Ogarnął ją stan radosnego podniecenia. Czowała się tak, jakby uniosła się w powietrze i fruwała wysoko.

Berend ciągnął dalej:

- Całe szczęście, że nie jestem szlachcicem, bo wtedy sprawa wyglądałaby całkiem beznadziejnie. A i tak jest wystarczająco źle.

Line opadła na ziemię.

- Ale właściwie jakie ma znaczenie, co myślą inni? Czy to nie dotyczy wyłącznie nas dwojga?

Uśmiechnął się i ostrożnie objął ją ramieniem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że przyjęłaś niewypowiedziane wprost oświadczyzny?

- Ojej! - zawołała, rumieniąc się. - Rzeczywiście! Proszę, zapomnij o tym!

- Ani myślę o tym zapominać! Wiem doskonale, że między nami nie może być inaczej jak tylko cudownie. Ale jest tak wiele spraw od nas niezależnych... Nikomu nie pozwolę drwić z ciebie i szydzić z powodu twego pochodzenia, Caroline. Twój ojciec był przecież pracowitym rzemieślnikiem, a matka skrzętną gospodynią. A w tym nie ma nic złego! Gdyby mogli zobaczyć teraz swoje dzieci, mieliby wszelkie powody do dumy. Nie zniósłbym, gdyby poniżali cię jacyś niemądry ludzie!

- Nie zapominaj, że wołano na mnie kiedyś Głupia Line. Nawet rodzice tak mnie nazywali!

- Wiem, ale uważam, że to potwornie niesprawiedliwe! Głupota ma różne oblicza. Najgorsza jest chyba megalomania. I z taką przyjdzie ci się stykać bardzo często. - Wstał. - Teraz jednak nie mogę cię już dłużej kompromitować. Na pewno coś wymyślę! Bo chyba rozumiesz, Caroline, że pragnę resztę mojego życia spędzić z tobą i ani myślę się poddać. Będziesz dla mnie najodpowiedniejszą żoną! Mój mądry dziadek zrozumiał to pierwszy. A więc do jutra! - podniósł ją i pocałował delikatnie w czoło.

Potem odszedł.

Bo Berend Grim był rycerzem w każdym calu.

Następnego ranka przechytrył braci von Flanck. Nim koguty zdążyły otrzepać pióra po nocnej drzemce, Berend stał już u bram zamku i prosił o audiencję u króla. Wyjaśnił wartownikowi, że ktoś zamierza mu odebrać pewien królewski dokument, który ma przy sobie, a nie chce ryzykować jego utraty. Spytał, czy mógłby poczekać za bramą, aż Jego Wysokość zacznie przyjmować gości.

- O, to długo przyjdzie ci czekać, panie - brzmiała odpowiedź.

Berend zapewnił, że wytrzyma, i wpuszczono go na dziedziniec.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Powoli słońce wznosiło się coraz wyżej i łagodziło poranny chłód. Berend drzemał na ławce. Bardzo źle spał minionej nocy, myślami błądził wokół Caroline i ich niepewnej przyszłości. Rozpraszało go to, że znajdują się pod jednym dachem. Wyobrażał sobie, jak śpi okryta kocem, a różne grzeszne myśli, jakich nigdy nie doświadczał w tym krótkim czasie, gdy był zakochany w Virginii, nie dawały mu spokoju.

Rozmarzył się, że trzyma ją w ramionach i że... Oj, nie były to przyzwoite myśli, ale jakież rozkoszne!

Na dziedzińcu zamkowym zapanowało ożywienie. Przechodziły praczki, handlarze z warzywami, rzeźnicy nieśli mięsiwo, podążali pośpiesznie kamerdynerzy, pisarze, urzędnicy.

W końcu Berend ośmielił się przypomnieć wartownikom, którzy bez zwłoki skierowali go do królewskiego adiutanta.

- Nie, Jego Wysokość jeszcze się nie obudził - powiedział adiutant, ale przyrzekł przekazać sprawę królowi, jeśli pan Grim zechce wyjawić, co go sprowadza.

Berend wyłożył swą sprawę i oddał królewski list. Wyjaśnił, że bracia von Flanck, chcąc zagarnąć dwór Flanckshof, rozgłosili wszem i wobec, że ten list nie jest autentyczny. Czy Jego Wysokość byłby tak łaskawy, by potwierdzić swym podpisem list ojca? Wtedy pismo nabierze szczególnej mocy.

Adiutant pokiwał głową na znak, że rozumie. Poprosił, by Berend za kilka godzin

zgłosił się do niego po odbiór listu. Jego Wysokość, gdy będzie wolny, zerknie na ten dokument.

Berend podziękował i udał się do wyjścia przez sale urządzone z wielkim przepychem tak charakterystycznym dla epoki baroku. Rzucało się w oczy przesadne zdobnictwo, złocenia, rzeźbione aniołki.

Na dziedzińcu przystanął, zastanawiając się, gdzie poczekać na odpowiedź króla. Bał się wracać do domu, bowiem gotów był dać głowę, że bracia von Flanck zaczęli się gdzieś pomiędzy jego domem a zamkiem. Mógł więc zrobić tylko jedno: znaleźć sobie jakiś zaciszny kącik na ogrodzonym terenie zamkowym i czekać!

Jakże żałował teraz swego porannego pośpiechu i tego, że nie miał czasu na śniadanie. Bo gdy tak siedział w cieniu muru, słyszał tylko jeden dźwięk, który przez to wydawał mu się jeszcze głośniejszy: burczenie w pustym żołądku.

Całe szczęście, że nie przyszła ze mną Caroline, uśmiechnął się do siebie. Ta dziewczyna patrzy na mnie jak na bohatera. A bohaterom przecież nie burczy w brzuchu!

Czas włókł się w ślimaczym tempie.

Wsluchiwał się w uderzenia zegara na wieży kościelnej. Gdy minęły dwie godziny, wstał i strasznie już głodny udał się z powrotem do pięknej kancelarii adiutanta. Co tam! Miałby nie wytrzymać przez chwilę bez jedzenia? Caroline! Ona może powiedzieć, czym jest głód, prawdziwy głód.

- O, pan Berend Grim! Jego Wysokość, król Christian IV, życzy sobie mówić z panem osobiście! Proszę za mną!

Pobladłego z wrażenia i podenerwowanego zaanonsowano Berenda królowi.

Komnata, do której go wprowadzono, była bardzo okazała, ale ledwie prześliznął się po niej wzrokiem, bowiem uwagę jego przykuła postać przy biurku. W tym okresie Christian IV nie był już młodzieńcem. Wojenne niewygody, osobiste kłopoty i słabość do trunków pozostawiły trwałe ślady. Ale ten mężczyzna dominował wszędzie, niezależnie od miejsca, w którym się znalazł. Bardzo silna osobowość, w dobrym i złym tego słowa znaczeniu. Tego dnia w znakomitym humorze.

Berend skłonił się nisko i czekał.

Władca trzymał w ręku królewski list.

- Znam trochę tę historię - powiedział. - Jak zauważyliście, złożyłem na dokumencie swój podpis i opatrzyłem go pieczęcią. Tak więc Lidia Stake i jej wnuk będą mogli w przyszłości spokojnie mieszkać we Flanckshof. Z pewnych jednak względów chciałbym usłyszeć dokładniejszą relację z ostatnich wydarzeń - te słowa wypowiedział z osobliwym

błyskiem w ciemnych oczach.

Usiadł i gestem wskazał, by Berend także zajął miejsce.

I Berend zaczął opowiadać całą historię od początku, starając się mówić krótko. A że Caroline wysunęła się na pierwszy plan? Cóż, trzeba mu to wybaczyć!

Miał wrażenie, że znalazł się w jakiejś baśni. Wszystko wokół niego zdawało się nierealne. On - sam na sam z Jego Wysokością!

Królowi kilka razy drgnęły usta w uśmiechu. Szczególnie gdy mowa była o triumfalnym pochodzie żołnierzy dźwigających na ramionach braci von Flanck.

Berend skończył i przez chwilę zapanowała cisza.

W końcu król spytał:

- A więc Ditlef Wagner wrócił do domu? Bardzo zdolny oficer! Widziałem go pod Lutter am Barenberge. Nie sądziłem, że uda mu się przeżyć! Wy także byliście ranni - zwrócił się do Berenda.

- Tak, Wasza Wysokość. Ale trochę wcześniej wysłano mnie do domu. - Berend nie był zdziwiony słowami króla. Christian IV dbał o swych żołnierzy.

Król się zadumał. Berend Grim nie był szlachcicem, a do tego tylko podoficerem. Nie mógł go więc zaprosić na mające się odbyć przyjęcie. Mogłoby to być źle odebrane.

- Słuchając, odnoszę wrażenie, że ta młoda dziewczyna dużo dla was znaczy - rzekł.

- Tak, Wasza Wysokość. Zamierzam złamać niepisane prawo mego stanu i ożenić się z Caroline jak najprędzej. Gdybym tylko miał pewność, że nie będzie szykanowana z powodu niskiego urodzenia! Ta dziewczyna jest tak czysta i dobra! Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś o tak gorącym sercu! Jest mi droższa nad życie!

Król pokiwał głową zamyślony. On sam także nie ograniczał się jedynie do związków z damami z najwyższych sfer. A przy tym był tego ranka szczególnie dobrze usposobiony.

- Przyślę swego reprezentanta na ślub - powiedział. - To powinno zamknąć usta nieprzychylnym.

- Dziękuję Waszej Wysokości - rzekł Berend wzruszony. - Wiedziałem, że król troszczy się o dobro wszystkich swoich poddanych, nawet tych najmniejszych.

Te słowa padły na podatny grunt.

- To niewielka przysługa, jaką mogę oddać tym, którzy stawili czoła braciom von Flanck. A wymagało to odwagi!

I znów ten chytry błysk w oku. A więc to bracia von Flanck interesują króla, pomyślał Berend. Dlatego chciał usłyszeć wszystko.

- Ci dwaj okryli wstydem i hańbą całą moją armię - rzekł Christian IV. - Bardzo zdolni

oficerowie, ale mają zły wpływ na swych podwładnych. A propos, proszę pozdrowić ode mnie Lidię Stake i przekazać jej, że może już zamieszkać we Flanckshof. Mieszkańcy Jutlandii powoli wracają do swych dworów. Sytuacja się tam ustabilizowała, choć, niestety, nadal na naszej ojczystej ziemi stacjonują obce wojska.

Tak audiencja dobiegła końca.

Berend wyszedł. Na zewnątrz czekało już na niego dwóch gwardzistów.

- Otrzymaliśmy rozkaz, by eskortować was, panie, do domu! - zameldowali.

O, tu wszystko było dopięte na ostatni guzik! Z wdzięcznością przyjął eskortę, poprosił tylko, by gwardziści szli parę kroków za nim.

I miał rację! Bo kiedy zbliżył się do swego domu, ujrzał przy bramie Gustava i Torbena, którzy nie spuszczała oka z drzwi wyjściowych.

Zaskoczył ich nadchodząc z przeciwnej strony.

- Czekacie, kiedy pójdę do zamku? - zapytał. - Przykro mi niezmiernie, ale się spóźniliście. Właśnie stamtąd wracam. List został poświadczony przez Jego Wysokość osobiście. Król czuł się dotknięty, że ośmieliliście się nazwać list jego ojca mistyfikacją!

- Ty diable! Oddawaj go, i to szybko! - warknął Gustav przez zaciśnięte zęby.

- Na cóż się to zda? Przecież król wie, co podpisał.

- Ty nędzny psie! Po co mieszasz się w nieswoje sprawy?

Gustav zamachnął się groźnie, ale akurat w tej samej chwili nadeszła eskorta. Po krótkiej wymianie zdań bracia von Flanck uznali, że lepiej będzie się wycofać.

- Drogo cię to będzie kosztowało! - rzucił Gustav na odchodnym.

Gdy Berend wreszcie zjadł śniadanie, przyszła jego matka.

- Żal patrzeć, jak ty wyglądasz - powiedziała.

Nie mógł już dłużej milczeć.

- Mamo! Chcę się żenić!

- Och! To wspaniale! Czas najwyższy. Już myślałam, że nigdy nie zostanę babcią.

Masz narzeczoną?

- Tak - rzekł stanowczo. - Albo ożenię się z Caroline, albo w ogóle!

- Caroline? Ależ, mój kochany chłopcze...

- Podjąłem decyzję - przerwał jej.

Matka była wstrząśnięta.

- Pewnie powinnam się cieszyć, że nie wybrałeś Virginii. Caroline jest bardzo miła, ale czy zdajesz sobie sprawę, na co ją narażasz?

- Rozważaliśmy to. A Jego Wysokość obiecał przysłać na ślub swego reprezentanta. To powinno zamknąć usta największym plotkarom w naszym kupieckim stanie.

- Reprezentant króla? Całkiem niezłe! - Pani Grim milczała przez chwilę, po czym rzekła: - Przywieź Caroline do mnie! Chcę ją lepiej poznać. Przecież widziałyśmy się tylko raz.

- Jest bardzo inteligentna! - powiedział Berend.

- Tak, tak, mój chłopcze. Nie musisz się tłumaczyć ze swych uczuć. Na pewno uda się nam odeprzeć wszystkie paskudne ataki, jakie zostaną w nią skierowane.

Ale tak naprawdę trochę się martwiła. Bo nie było litości dla tego, kto ośmielił się naruszyć sztywne podziały klasowe. Bogu dzięki za królewskiego reprezentanta, chociaż na dobrą sprawę nie rozumiała, w czym by to miało pomóc.

- A, prawda, Berendzie! Stan zdrowia twojego dziadka znacznie się poprawił po waszej wizycie. Dostałam wczoraj wiadomość! Wbił sobie do głowy, że musi jeszcze doczekać twego ślubu. Nie sądziłam, że to nastąpi tak prędko!

- Dziadek był oczarowany Caroline - rzekł Berend z zapałem. - Czy moglibyśmy się pobrać w kościele w pobliżu jego posiadłości?

- Dlaczego nie? Ale jak ci się uda zataić przed nim pochodzenie Caroline?

- Kochana mamó! Kto zbudował podstawy naszej fortuny? Dziadek! A czyż nie zaczynał od niczego?

- Tak, jego ojciec, a twój pradziadek, był zwykłym wędrownym kramarzem. Twój dziadek często się tym chwali.

- Sama więc widzisz, mamó. Rodowód dziadka wcale nie jest taki świetny.

Z łagodnym westchnieniem przyznała mu rację.

Lidia Stake miała łzy w oczach, gdy brała do ręki królewski list i przyjmowała wiadomość o tym, że może wracać na Jutlandię. Nie wiedziała, jak dziękować Berendowi.

Musiał wyznać, że zamierza zabrać jej nową służącą. Lidia była zaskoczona, ale po dłuższej chwili lamentów i westchnień oswoiła się z tą myślą. Ditlef i Ulrik pogratulowali gorąco przyjacielowi i zgodnie przyznali, iż dokonał mądrego wyboru. Lepszej żony nie mógłby znaleźć.

Tylko Virginia zacisnęła usta. Stroiła się właśnie na królewską ucztę i bardzo ją irytowało, że nie na jej urodzie koncentruje się uwaga wszystkich. Poza tym uznała, że Berend wybrał narzeczoną poniżej wszelkiej krytyki.

- Ale gdzie jest Caroline? - spytał Berend z zapałem. - Chyba jej również powinienem

wspomnieć o małżeństwie,

- Spytaj w kuchni! - roześmiała się Lidia, nie wypuszczając z rąk królewskiego listu.

Virginia zaczepiła go w przedpokoju.

- A więc żenisz się ze służącą? - zapytała, a w jej głosie pobrzmiwała nuta złości i rozgoryczenia. - Nie myśl, że będzie jej lekko. Opowiem wszystkim, kim jest! Myślisz, że zapomniałam, jak trafiła do naszego domu z rękami czarnymi od smoły?

Berend podszedł do niej bliżej. Jego oczy ciskały błyskawice.

- Spróbuj tylko! Wtedy ja szepnę, komu trzeba, kto ponosi winę za zatopienie frachtowca „Tilda”. Nie kto wykonał pracę, ale kto zaplanował ten nieczny czyn!

Virginia zbladła. Odwróciła się na pięcie, aż zaszeleściły jej halki, i pobiegła do swego pokoju.

Berend popatrzył za nią. Teraz był pewien, że Caroline nikt nie będzie dokuczał.

Poszedł do kuchni, ale Line tam nie było. Kucharka wysłała ją do portu po świeże kraby na obiad. Powinna już dawno wrócić.

Berenda chwycił strach. Poczł, jak żelazna obręcz ścisnęła mu serce.

Pojął, że Gustav nie żartował, grożąc mu zemstą.

ROZDZIAŁ XIII

Linę chwyciła koszyk z krabami i już miała wracać do domu, gdy naraz się zatrzymała. Nie musiała się spieszyć, bo do obiadu pozostało jeszcze dużo czasu. Gdyby tak? Skoro już jest blisko... Pójdzie i rzuci okiem na swój stary barak, gdzie kiedyś tak ciężko pracowała. Może spotka tam młodego bednarza i przekaże przez niego pozdrowienia dla najbliższych?

Tak! Powinna zdążyć!

Zdecydowanym krokiem ruszyła znajomymi uliczkami i zaułkami. Jaka tu nędza, jaki brud! Już prawie całkiem o tym zapomniała!

Bardzo szybko człowiek przyzwyczaja się do lepszego i wygodniejszego życia!

Barak, warsztat bednarzki ojca... Jaki niepozorny, jaki marny! Poczuli, że ściska ją w gardle ze współczucia. Jak mogła wymazać z pamięci panujące tu ubóstwo!

W środku zastała młodego mężczyznę. Warsztat był urządzone znacznie funkcjonalniej niż za jej czasów. Pod ścianą stały beczki, ustawione jedna na drugiej, na środku zaś znajdował się solidny stół do pracy. Drzwi były otwarte na oścież i do baraku wpadało światło dzienne.

- Dzień dobry! - przywitała się Line.

Mężczyzna podniósł wzrok. Sympatyczny młody człowiek, równy jej stanem, spoglądał na nią wesoło i przyjaźnie.

Wpierw wydawał się trochę zdziwiony, jakby się zastanawiał, co tu robi taka elegancka dama, lecz po chwili na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

- Line, prawda? - rzekł i wyciągnął do niej dłoń. - Jakie wy jesteście do siebie podobne, dwie siostry!

Line nigdy o tym nie myślała, ale słowa bednarza uświadomiły jej, że coś w tym jest.

Zapytała, co słyhać u nich w domu. Odpowiedział, że wszystko w najlepszym porządku. Za chwilę się tam wybiera. Może przekaże pozdrowienia?

Line właśnie chciała go o to prosić.

- Proszę wszystkich ode mnie serdecznie uściskać i przekaże, że dobrze się miewam - poprosiła. - Oświadczył mi się, wprawdzie jeszcze nie całkiem formalnie, pan Berend Grim, z czego jestem bardzo rada. Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, zostanę jego żoną. On w każdym razie jest tego pewny, a ja mam nadzieję, że tak właśnie będzie!

Młodzieniec uśmiechnął się i wyraził przekonanie, że tą wiadomość ucieszy jej

rodzeństwo. Przy okazji wyznał, że zamierza się starać o rękę Lone, jej starszej siostry, i wydaje mu się, że nie jest całkiem bez szans.

Line była zachwycona. Nawiązawszy nić przyjaźni, tych dwoje musiało się rozstać. Bednarz udał się w drogę do jej rodzinnego domu. Line spytała, czy może zostać jeszcze przez chwilę i rozejrzeć się trochę.

Gdy wóz się oddalił, skrzypiąc i turkocząc, Line podeszła powoli do wąskiej drabinki, która znajdowała się nadal w tym samym miejscu. Czuła, że musi wrócić do swych korzeni, zanurzyć się przez chwilę w przeszłości, bo wydawało się jej, że traci grunt pod stopami w tym nowym świecie, który otworzył się przed nią.

Wspięła się na poddasze i otworzyła niskie drzwi do swej maleńkiej sypialni. Nikt tu nie był od owego ranka, gdy razem z Berendem opuściła to miejsce. Kiedy to właściwie było? Jej wydawało się w każdym razie, że upłynęła wieczność. Ale klitka! I tu kiedyś mieszkała, tutaj marzła i drżała z lęku przed nadchodzącą zimą.

Co by się stało, gdyby tego wieczoru nie wpuściła Berenda? Bez jedzenia, bez opału...

Strach pomyśleć!

Line spojrzała na swe dłonie. Zrobiły się delikatne i prawie całkiem białe. Nie wolno mi zapomnieć, że kiedyś były czarne od smoły, postanowiła. Nigdy nie stanę się dumna i zarozumiała. Jedynie pokorna i wdzięczna.

To niby-łóżko... Skąd wzięła śmiałość, by zaprosić do środka takiego pana? I zaproponować mu, by odpoczął na takim posłaniu? Znała odpowiedź. Po pierwsze, był ranny, a po drugie, nie znała innego świata. Zdawała sobie sprawę, że jej legowisko jest nędzne, ale sądziła, że wszyscy mają takie, że tak już musi być!

Berend nie kręcił nosem, złego słowa nie powiedział.

Line złożyła ręce do modlitwy:

- Dzięki Ci, dobry Boże, że Berend przyszedł do mnie, że go skierowałeś na moją drogę. Nawet jeśli będę musiała zrezygnować z niego, bo tak wygląda, że my dwoje nigdy nie będziemy razem, to i tak ci dziękuję! Dziękuję za dobro, jakie wniósł do mojego życia, za to, że zmienił na lepsze życie mojego rodzeństwa!

Podniosła głowę. Zdawało się jej, że na dole słychać jakiś trzask. Znała ten odgłos, pewnie wiatr zamknął drzwi wejściowe.

Line pogładziła z sentymentem skrzynkę, która służyła jej jako stół, i siennik na łóżku. W drzwiach rzuciła ostatnie spojrzenie na poddasze, po czym zeszła po drabince.

Gdy już była na dole, obróciła się i stanęła jak wryta. Serce podskoczyło jej do gardła.

W warsztacie przy zamkniętych drzwiach było niemal całkiem ciemno, ale dostrzegła

wysokiego mężczyznę, który stał i czekał na nią. Smuga światła odbijała się w jego zimnych oczach. Rozpoznała go bez trudu. To był Gustav von Flanck

- No, pyskata dziewczko - rzekł. - Wiesz, co nam zrobił twój kochanek? Wiesz?

- To nie jest mój kochanek - odpowiedziała Line, bo nic innego nie przyszło jej na myśl.

Wydawało się jej, choć nie była całkiem pewna, że w rogu stoi ktoś jeszcze. Pewnie nieodłączny Torben.

- Pomogłaś Grimowi odebrać nam Flanckshof - rzekł Gustav z groźbą w głosie. - Nasze prawowite dziedzictwo!

- Słyszałam o tym co nieco - odparła dziewczyna przetykając głośno ślinę. - To pani Lidia była najstarszym dzieckiem, czyż nie?

- Lidia jest kobietą - rzucił ze złością Gustav. - Od kiedy kobieta dziedziczy pierwsza, przed młodszymi braćmi?

- Kiedy młodszy brat dopuści się ciężkiej zdrady! - odpowiedziała Line odważnie.

Gustav gwizdnął

- A więc grozisz, że jeśli cię zabiję albo pozbawię czci, wrócisz po śmierci, by mnie dręczyć? Ha! Istnieją jeszcze inne sposoby, by się zemścić!

Cofnęła się, ale on szedł za nią krok w krok.

Błysnęło ostrze noża.

- A gdybym cię tak naznaczył odrobinę? Porobił cięcia na twarzy i na ciele, wzdłuż i wszerz? Pewnie Berend nie byłby zachwycony. Straciłabyś dla niego urok.

Line próbowała się wymknąć, ale dopadł ją i chwycił za włosy.

- Torben, chodź tu. Pomóż mi! - powiedział spokojnie. - Ta mała jest niegrzeczna!

Dziewczyna z przerażeniem spostrzegła, że przykładła nóż do jej twarzy. Krzyknęła przestraszona. Gustav naprężył mięśnie i już miał wbić ostrze, gdy nagle coś ze świstem przecięło powietrze. Palce napastnika drgnęły, nóż upadł na ziemię. Przez kilka sekund wpatrywał się w nią wzrokiem wyrażającym bezgraniczne zdumienie, po czym osunął się na ziemię.

Oczy miał nadal otwarte, ale nie było już w nich życia.

Torben wyszedł z mroku. Line i on długo patrzyli na siebie.

- Nic nie widziałam! - rzekła w końcu, starając się opanować drżenie.

Wtedy przeniósł wzrok na nie żyjącego brata, swego złego ducha. Pochylił się nad ciałem i wyjął nóż. Wytarł go starannie i podszedł do drzwi.

Line stała nieporuszona.

Tylko raz Torben odwrócił głowę, popatrzył na nią, a jego oczy wyrażały ból pomieszany z ulgą. Potem wyszedł w pośpiechu.

Line uświadomiła sobie, że z wrażenia omal nie przestała oddychać. Zaczepnęła więc powietrza w płuca, wyprostowała się i chwyciwszy kosz z krabami, stojący przy drabince, wybiegła z baraku.

Niebawem natknęła się na latarnika. Podbiegła doń i zameldowała, że pobili się dwaj mężczyźni - wyjaśniła gdzie - i że jeden z nich został zabity, a ten drugi uciekł. Nie, nie zna mordercy, dodała. Ale na pewno nie był to ten młody bednarz, który tam pracuje, bo on przebywał w tym czasie daleko za miastem. Tak, rozpoznała zabitego. To Gustav von Flanck, słynny rzeźmieszek, który miał wielu wrogów. Ten, co go zabił, zrobił właściwie dobry uczynek. Szkoda tylko jego brata, jedynej osoby, która była do niego naprawdę przywiązana.

Wprawdzie obiecała Torbenowi, że nikomu o niczym nie powie, ale uznała, że młody bednarz mógłby mieć kłopoty, a poza tym doznałby szoku na widok trupa w warsztacie.

Wydawało się jej, że postąpiła właściwie.

Latarnik pokiwał głową i nie zadając zbędnych pytań podążył w dół uliczki. Nawet nie zapytał o jej nazwisko i adres. Line skorzystała z tego i pobiegła do domu pani Lidii.

Była tak zdenerwowana, że nie zauważyła Berenda i omal na niego nie wpadła.

- Caroline! Zobaczyłaś ducha? Taka jesteś blada!

Potrząsnęła głową.

- Dzięki Bogu, że przyszedłeś, Berend. Gustav nie żyje! Zamordowany! Ale to nie ja go zabiłam!

- Co ty mówisz? Kto to zrobił?

Pokręciła głową. Nie chciała kłamać, ale nie zamierzała też zdradzić Torbena. Bo Line zdecydowała się dać mu szansę na rozpoczęcie nowego życia po tym, jak przez całe lata żył w cieniu Gustava i tak naprawdę był jego służącym. Nie miała pewności, czy postępuje właściwie, ale wydawało jej się, że odkryła w Torbenie okruchy człowieczeństwa, a tego nie wolno było zaprzepaścić.

- Przekazałam wszystko latarnikowi. O nic więcej nie musimy się kłopotać - rzekła. - Zabierz mnie, Berend, do domu. Jestem taka... taka...

Właściwie nie wiedziała, co jej jest.

I Berend zabrał ją najpierw do domu pani Lidii, gdzie pożegnała się i podziękowała wszystkim. Począwszy od służących, którzy nauczyli się od Line dostrzegać urodę małych szarych wróbli, po Ulrika, który miał łzy w oczach, i pana Ditlefa, życzącego jej wszystkiego

co najlepsze w życiu. Wreszcie pożegnała się z panią Lidią. Starsza pani bez słowa ścisnęła mocno i długo jej dłoń.

Potem Berend zabrał ją do swej matki. Odbyli długą rozmowę. Line dostała piękne suknie siostry Berenda i już nikt, zwłaszcza ci, których zdaniem szaty stanowią o pięknie duchowym człowieka, nie mógł dostrzec różnicy pomiędzy nią a pannami z dobrego domu.

Po tym wszystkim jednak Line odczuła takie zmęczenie, że musiała pójść do swego pokoju, by trochę odpocząć. Berend podążył za nią i usiadł na brzegu łóżka. Popatrzył na nią z łagodnym uśmiechem. Nie zamierzał wypytywać, co się stało z Gustavem von Flanckiem. Lepiej dla niej będzie, jeśli jak najszybciej wymaże to z pamięci. Dla niego było bez znaczenia, kto zabił Gustava. Najważniejsze, że z ich życia zniknęło największe niebezpieczeństwo.

Dziwne, ale nagle przestał się obawiać Torbena. Spojrzał na Line zamyślony i przypomniał sobie jej słowa: „Torben jest niegroźny. Prawie się zaprzyjaźniliśmy”.

Berend postanowił, że nie będzie tego rozpamiętywać.

Była zbyt śliczna, gdy tak leżała. Berend, który zwykle kierował się rycerskimi zasadami, z trudem panował nad sobą. Są pewne granice, nie można tak wiele oczekiwać od młodego mężczyzny. Przygarnął ją do siebie, pogładził delikatnie czoło. Pozwolił palcom przesunąć się niżej, dotknąć miękkiego policzka i konturów pięknych ust. Line uśmiechnęła się przez sen, czując łaskotanie.

Nie mógł się powstrzymać. Spragniony dotknął jej warg i złożył pocałunek, za którym tęsknił, odkąd ją poznał.

To było rozkoszne, cudowne... Nagle przestało być dla niego ważne, by poprowadzić do ołtarza czystą i niewinną pannę młodą. To Line położyła dłoń na jego piersi i delikatnie go powstrzymała.

Berend oddychał głęboko, rozdygotany, aż wreszcie się opanował. Gwałtownie wybiegł z pokoju. Przystanął za drzwiami, by się uspokoić. Wielkie nieba! Nie pojmował, że można do tego stopnia stracić poczucie czasu, miejsca, zdrowy rozsądek!

Uśmiechnął się szeroko na myśl, jakie go niebawem czekają rozkosze.

Tymczasem Virginia udała się na ucztę, która odbywała się na zamku. Wieść o śmierci Gustava ogromnie ją wstrząsnęła, a ponieważ nie wiedziała, czy ów epizod z nim nie będzie miał przykrych następstw, przeto desperacko kokietowała na prawo i lewo wszystkich kawalerów, którzy wydawali się jej odpowiedni. Właściwie każdy byłby teraz dobry!

Wnet zgromadziła się wokół niej grupka adoratorów.

Król Christian IV był dość niekonsekwentny, bo choć sam nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do zasad moralnych, nie tolerował, by na dworze, w jego obecności, ktoś zachowywał się nieprzystojnie. A Virginia przekroczyła wszelkie granice przyzwoitości, kiedy zaczęła uwodzić żonatego mężczyznę.

Jego Wysokość szepnął kilka słów swemu adiutantowi, który podszedł do dziewczyny. Zażądał uprzejmie, acz zdecydowanie, by opuściła przyjęcie i więcej nie pokazywała się na dworze.

Virginia osłupiała.

- Co takiego...?

Ale napotkawszy wzrok króla, zrozumiała. Łzy upokorzenia uwięzły jej w gardle. Ukłoniła się i pośpiesznie wyszła z sali. Służący podał jej elegancką pelerynę. Biegła do domu ciemnymi ulicami, nie zważając na zaczepki nocnych łazików.

Następnego dnia nie chciała w ogóle wstać z łóżka. Lidia, do której dotarły plotki o tym, jak bratanica jej męża skompromitowała się poprzedniego wieczoru, uznała, że nie będzie tego dłużej tolerować.

Weszła do pokoju Virginii.

- Przygarnęłam cię do swego domu, bo byłaś sierotą. Uczyniłam wszystko, by było ci dobrze. Ale w zamian nie otrzymałam nic prócz niezadowolenia i służalczej pokory, gdy było ci to na rękę. Pamiętam twe słowa sprzed jakiegoś czasu, że nie pozwolisz Ulrikowi i mnie wrócić do Flanckshof. Słyszałam, jak traktowałeś Ditlefa i Line. Wiem o twym spisku z Gustavem i Torbenem, o dość podejrzanym udziale twego brata w tej całej sprawie. A teraz jeszcze kompromitacja na dworze. Okryłaś hańbą nasze nazwisko wobec Jego Wysokości. Tego ci, Virginio, nie wybaczę!

A i tak nie wie najgorszego, pomyślała Virginia, wsunięta głęboko pod pierzynę. Tego, co może się stać.

- Zdecydowałam, że nie wrócisz z nami do Flanckshof! Otrzymasz na własność ten dom, wypłacę ci też odpowiednią sumę. Ale więcej cię nie chcę widzieć na oczy.

W pierwszym momencie Virginia odczuła ulgę, ale wnet uświadomiła sobie własne położenie: niezamężna kobieta, odrzucona przez wyższe sfery, a do tego, niewykluczone, bohaterka jeszcze większego skandalu.

Siedziała i szlochała, nie mogąc pojąć, dlaczego los karze ją tak dotkliwie.

Caroline córka Jensa poślubiła Berenda Grima w kościele w Brönshøj pewnego jesienno-go dnia 1628 roku. Jej młodsze rodzeństwo stawiło się w komplecie. Lone przybyła

ze swym narzeczonym, młodym bednarzem. W uroczystości wzięli także udział Ulrik i jego ojciec, Line bowiem nalegała, by był przy nich w tym dniu. Reprezentant króla prowadził matkę Berenda. Uroczystość miała tak wspaniałą oprawę, że Line ze wzruszenia omal nie zapomniała słów przysięgi.

Po ceremonii młoda para udała się do dziadka Berenda, który marzył o tym, by dożyć tego dnia. I udało mu się to, choć przypominał już cień człowieka. Promieniał jednak radością, że jego wnuk wreszcie się ożenił, i to z Caroline, która podbiła jego serce. Wspaniała dziewczyna. Z pewnością z bardzo dobrej rodziny!

Dziadek miał absolutną rację.

Zamieszkali w kupieckiej kamienicy. Ulrik odwiedzał ich codziennie, póki nie wyjechał z Kopenhagi. Dawał Caroline prywatne lekcje i był niezwykle zadowolony ze swej uczennicy.

Matka Berenda serdecznie przyjęła swą synową, a jej córki, siostry Berenda, także polubiły Line. Broniły jej zaciekle przed kąśliwymi uwagami złośliwych.

Obecność królewskiego reprezentanta na ślubie bardzo im pomogła. Wkrótce przestano plotkować na temat pochodzenia Line.

Virginii udało się w ostatniej chwili upolować starego kupca - nieszlachcica, za to bardzo bogatego. W rekordowo krótkim czasie wyszła za niego za mąż i ku zdumieniu wszystkich - bo mąż był zgrzybiałym starcem - urodziła im się córeczka. Jak na wcześniaka było to dość dorodne i dobrze rozwinięte niemowlę. Berend i Line spotykali czasem Virginie, gdy przejeżdżała swym powozem ulicami Kopenhagi. Nadal była zarozumiała, zadufana w sobie i bardzo znudzona.

Line nie zamieniłaby się z nią za nic w świecie. Byli z Berendem tacy szczęśliwi. Po ślubie, rzecz jasna, porzucił swe rycerskie zasady i przestał ją traktować niczym świętość, której nie wolno tknąć. Sypialnia zbliżyła ich bardzo ze sobą, tak ciałem, jak i duchem. Szczegóły nie powinny nikogo obchodzić, ale faktem było, że to właśnie w tym pomieszczeniu Berend dzielił się z nią swymi codziennymi troskami.

Opowiadał o dostarczanych drogą morską towarach nie najlepszej jakości, o pracownikach swej firmy, ich kłopotach i temu podobnych sprawach. To właśnie w sypialni uświadamiał sobie, jak bardzo kocha Line. Bo w powodzi codziennych zajęć nie zawsze miał czas, by o tym pomyśleć.

Torbena nigdy więcej nie spotkali. Zniknął po cichu z Kopenhagi i z Flanckshof i nikt nie wiedział, jak potoczyły się jego losy.

Znacznie później Line otrzymała list zawierający tylko jedno zdanie: „Dziękuję za

moje nowe życie! T. „

Od razu wiedziała, że to wiadomość od Torbena, który nie zamierzał zakłócać im spokoju. Nabrała wówczas pewności, że postąpiła słusznie, ofiarując mu szansę na uczciwą egzystencję i chroniąc go przed karą wieloletniego więzienia, a może nawet przed karą śmierci.

Line i jej rodzeństwo wydobyło się z nędzy. Zaczęli nowe życie. To nieprawda, że bieda wykuwa najlepsze charaktery. Bieda oznacza głód, chłód i dręczący niepokój o przyszłość. Niepokój, który potrafi stłumić nawet najwspanialsze i najszlachetniejsze ideały.

Czasami Line wracała myślami do czasów, gdy wszyscy nazywali ją Łachmaniarą albo Głupią Line.

Teraz nikt nie zarzucał jej głupoty, mimo że zachowała swe dobre serce.